

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Karol Szajnocha**

**Kto był kim  
w Galicji i Lodomerii**

**SZKICE HISTORYCZNE**

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS  
GDAŃSK 2001**

## JAN SOBIESKI BANITĄ I PIELGRZYMEM

Wiadomość o królu Janie III jako banicie znajdzie niestety mniej trudną wiarę, niżby właściwie należało. Przyzwyczailiśmy się bowiem mieć nader niepochlebne wyobrażenie o jego charakterze i postępkach w młodości. I nie dziś dopiero urosło to mniemanie, lecz panowało już powszechnie za jego życia. Ledwie nie wszystka szlachta społeczna jak z jednej strony widziała w nim jedyne go obrońcę od nieprzyjaciół i zbawcę kraju, tak z drugiej żywiła ku niemu głęboką od dawna niechęć. Było w tym daleko więcej uprzedzeń niż słuszności, lubo uprzedzeń z bardzo ważnych powodów.

Początki publicznej służby młodego starosty jaworowskiego przypadły w porę najniezwyklejszą. Okropne klęski wojen kozacko-tatarskich za Chmielnickiego rozkołatały do gruntu cały gmach społeczński. Sromota ucieczki pilawieckiej otarła wstyd z promiennego niegdyś oblicza szlachty. Niespodziewany pogrom batowski nauczył drzeć na lada wieść o chłopstwie i Tatarach. Uświęcona przez Sicińskiego wolność pogrążania Rzeczypospolitej za lada zachcieniem w otchłań nierządu rozzuchwalała do wszelkich bezpraw i gwałtów. Powszechne wiarołomstwo w początkach wojny szwedzkiej oswoiło z najszerszymi zbrodniami publicznymi. Spadły te wszystkie plagi na Polskę w niespełna ośmiu latach, między rokiem 1648 a 1655. Miał Jan Sobieski u wstępu tej strasznej pory lat niespełna 18, u jej końca mało co więcej nad lata pełnoletności.

Wyobraźmyż sobie młodzieńca gorącej duszy, rzuconego na falę burzy ówczesnej. Do tego był to młodzian bez ojca, bez przewodnika, bez znanej nam poważniejszej opieki męskiej. Ojciec już przed kilku umarł latami, a znakomita wysokim umysłem matka lgnęła więcej ku starszemu z synów, Markowi, powszechnie wyżej cenionemu od Jana. Upośledzony od matki, stracił Jan niebawem i tegoż brata starszego, jedyna zapewne moralną podporę swoją. Sam jeden, namiętny, powszechnym porwanym wirem, jakże daleko mógł młody wartogłów dać się unieść prądowi!

Jan Sobieski uniósł się mniej daleko, niż się można było obawiać, ale nie uniknął śladów

powszechnego zepsucia. Skażona nimi młodość tym niepochlebniejszą ustaliła o nim opinię, im większe uszanowanie otaczało pamięć zmarłego ojca i brata. Przybyła niebawem jeszcze ważniejsza pobudka do publicznej niechęci. W ostatnim niebezpieczeństwie ojczyzny po opanowaniu kraju przez Szwedów poruszona została kwestia następstwa po Janie Kazimierzu. Dla uzyskania pomocy albo pokoju w Wiedniu, Siedmiogrodzie i Moskwie okazano tym wszystkim dworom nadzieję zapewnienia sobie tronu polskiego jeszcze za życia Jana Kazimierza. Rozpoczęły się w tym celu żywe zabiegi dyplomatyczne, które w istocie posłużyły do rozerwania zawieszanej nad Polską burzy. Gdy jednak niebezpieczeństwo minęło, zamierzył dwór warszawski położyć koniec dalszym nadziejom i intrygom tego rodzaju, a to przez podniesienie projektu całkiem nowej elekcji. Wszyscy senatorowie nie tylko zgodzili się na wybór jednego z książąt francuskich, ale jak najgorliwiej dopomagali królestwu w tym zamyśle. Popierał go mianowicie wielki marszałek koronny Lubomirski, w niedawnej wojnie szwedzkiej nieskończenie zasłużony ojczyźnie i królowi, a teraz walny promotor następcy francuskiego. Są nawet wszelkie poszlaki, iż sam Lubomirski poddał królowi pierwszą myśl takiej elekcji.

Ale zamysły magnatów jak Lubomirski dziwnie subtelnymi poruszyły się sprężynkami. Lada zadrażnienie miłości własnej nadawało inny obrót ambicji, czyniło adwersarzem stronnika. I pan marszałek w. kor. z nader maluczkich przyczyn stał się przeciwnikiem własnego elekcji francuskiej planu. A ponieważ dwór wiedeński przez swego posła w Warszawie pracował gorąco nad usunięciem Francuza od następstwa, więc zawiązało się bliskie porozumienie między marszałkiem w. kor. a gabinetem wiedeńskim.

Ajenci cesarscy i marszałkowscy rzucili się do podburzania szlachty przeciw projektowi elekcji, przedstawiając ją zamachem na swobody szlacheckie, niecąc wszędzie gwałtowny entuzjizm dla tych swobód. Wybuchła w całym kraju niezmierna agitacja umysłów, na pozór republikańsko-narodowa, w istocie marszałkowsko-cesarska. Marszałek w. kor. poczytany został głównym obrońcą swobód i wraz z całą szlachtą coraz głębiej w austriacką brnął matnię. Austriaccy rozesłańcy układali dla szlachty łacińskie śpiewki na cześć złotej wolności, a szlachta na teatrze w Warszawie strzelała z łuków do aktorów francuskich, którzy śmieli przedstawiać zwycięstwo Francuzów nad cesarzem.

Można więc pojąć, w jaką niechęć publiczną popadli wszyscy stronnicy dworu i jego planów. Między tymi był także młody Sobieski, od czasu wojny szwedzkiej rzetelnie zasłużony królestwu i już chorążym koronnym mianowany. Wraz z całym prawie senatem pozostał on wiernym projektowi elekcji i ze wszystkimi senatorami doznawał za to gniewu opinii. Dalsze owszem wypadki uczyniły go wybraną ofiarą jej zawziętości. Gdy bowiem w

coraz sroższym rozterku między dworem i rozkoszującym marszałkiem przyszło do złożenia Lubomirskiego z hetmaństwa polnego i marszałkowstwa w. kor., stał się młody chorąży poniewolnym następcą w obu jego urzędach. Buławę polną przeznaczono najpierw Czarnieckiemu, ale po jego razem prawie z nominacją przypadłej śmierci, przeszło i hetmaństwo tuż po lasce na Jana. Stało się to nie tylko bez jego starań i zabiegów u dworu, ale nawet przeciw jego życzeniom. Zamiast cieszyć się ze swojej nagłej promocji, użala się on na nią w swoich listach poufnych i zarówno łaskę jak i buławę przyjmuje sercem niechętnym; raczej z posłuszeństwa dla dworu, niż dla dogodzenia ambicji.

Nie ocaliło to przecież reputacji Sobieskiego u szlachty. Widziano w nim spadkobiercę dostojeństw marszałkowskich, a to wystarczyło do zadania mu śmiertelnego ciosu u szlachty. Jako przyjaciel zamysłów dworskich, mniemany ciemiężca niewinnego marszałka, opressor swobód publicznych, stał się Jan Sobieski celem nienawiści powszechnej. Że uciemiężony marszałek za cesarskie pieniądze wojnę podniósł domową, o cesarskie pieniądze raz po raz błagając do Wiednia pisywał lista, nie zwracało na się uwagi albo uchodziło za rzecz dziwną. Że zaś młody chorąży w powszechnym skażeniu obyczajów nie był świętszym od reszty młodzieży i niemłodzieży, że nadskakiwał paniom u dworu, i przez lat dziesięć kochał się wiernie w wydartej sobie przez Zamojskiego francuskiej pannie dworskiej, poczytano mu za grzech nieprzebaczony.

Zamiast cenzurować coraz sroższą swawolę szlachty na sejmie, w trybunałach i wojsku, zajęto się niezmiernie żarliwą cenzurą modnych obyczajów u dworu, niezwyčajnych tam rozrywek i galanterii, a osobliwie miłostek młodego chorążego. Podawano sobie ustnie i na piśmie, wierszem i prozą, najpotworniejsze o nim pogłoski. Według tych plotek był to pierwszy rozpustnik swojego czasu, niebezpieczny wszystkim mężom zwodziciel, prawdziwy Kaligula. Pełne takich baśni rękopisy owej epoki, a jedna z niedrukowanych dotąd satyr na senat tamtoczesny, przystępując do kreślenia obrazu Sobieskiego, zaczyna w istocie temi słowy: „Ot i ten Kaligula w pludrach rękę trzyma...” itd.

Do niepochlebnych pogłosek tego rodzaju możemy dorzucić jeszcze jedną, zapewne najdotkliwszą ze wszystkich. Jan Sobieski tak dalece owymi czasy zboczył z toru słuszności, iż musiał karany być banicją. I to nie tylko raz jeden, ale dwukrotnie obwołało go prawo banitą. Jakże ciężkie powody zniewoliły sędziów do wymierzania tej surowej kary przeciwko synowi tak zasłużonego w narodzie ojca, pierwszego niegdyś senatora Rzeczypospolitej! Posądenia nasze nabierają tym większej wagi, gdy nam przyjdzie usłyszeć dalej, iż jedną z tych banicji ukarany został młody Sobieski za przewinienie względem klasztoru panien Karmelitanek we Lwowie. Nie należąc nawet do oszczerców albo łatwowiernych bajarzy,

możnaby z wątku tamtoczesnych pogłosek najdziksze roić domysły.

Ale uspokójmy się o pamięć króla Jana. Sława jego nie poniesie wielkiego uszczerbku z przyczyny tych banicji. Były to jedynie wyroki sądowe za niedopełnienie nakazanej wypłaty długów. Głównym też źródłem wiadomości o tych banicjach są własne pozwy Sobieskiego o zniesienie z niego tej kary, po skutecznym już zaspokojeniu przeciwników. Oto co z zapisów urzędowych możemy podać w tej mierze.

W czerwcu r. 1653 kończył Jan Sobieski 24 rok życia. Już atoli zwyczajnie od 21 lat wstępował każdy szlachetny młodzian w niektóre prawa obywatelskie, mianowicie w prawo piastowania urzędów, pełnienia funkcji poselskiej, rozporządzania majątkiem za przyzwoleniem krewnych itp. Nim też jeszcze młody starosta jaworowski zupełną osiągnął wieloletność, zapozwał go niejaki Mikołaj Aksmanicki o dług 40.000 złp.

Procesów takich przejął młody starosta jaworowski niemało wraz z fortuną ojcowską, jak wszystkie majątki tamtoczesne znacznymi obciążoną długami. W sumariuszach aktów ówczesnych napotykać się nader często przesyłane Sobieskiemu upomnienia do wypłaty dawniejszych należności. Sam też Sobieski użala się na to wielokrotnie w listach do żony. Zapewne więc i pan Mikołaj Aksmanicki upominał się długu dawniejszej daty.

Na wszelki wypadek był to pozew znanego w swoim czasie pieniacza. Pan Mikołaj Aksmanicki ustawicznie prawował kogoś albo był prawowanym. Nie zna go wprawdzie historia owych czasów, nie masz go nawet w herbarzu Niesieckiego, ale tym częściej spotkać go można w aktach sądowych. Wszystkie księgi ziemskie i grodzkie województwa ruskiego z tej pory pełne są jego imienia, jego pozwów, jego procesów i krwawych zwad z sąsiadami.

Samo nazwisko pana Aksmanickiego mogłoby dać powód do sporu, gdyż brzmiało jak się zdaje dwojako, Aksmanicki i Jaskmanicki. Książd Niesiecki ma tylko Jaskmanickich herbu Leliwa, osiadłych w ziemiach przemyskiej i sanockiej, a że i nasz Mikołaj Askmanicki był posesjonatem ziemi przemyskiej, i posiadał tam prawdopodobnie wsie Bruchnal i Nikłowice, więc będzie to zapewne jedno i toż samo nazwisko.

Z tym więc Askmanickim czy Jaskmanickim o pretensję dawną czynową zaniósł się na sprawę trybunalską. Przypadło to jakoś w samo przedjutrze nowej tegoż roku wojny kozackiej i tatarskiej, zakończonej w zimie ugodą z Tatarami pod Żwańcem. Właśnie kiedy młody starosta jaworowski wyprawiał się do obozu, przycisnęła go niebezpieczniejsza dlań walka z głośnym na całe województwo warchołem. e pozostałych o niej zapisów urzędowych i zwyczajnego w podobnych wypadkach procederu prawnego, musiała ona następujące przebiec koleje.

Pierwszy pozew strony żalującej czyli *powodu* zawezwał Sobieskiego przed sąd ziemski

we Lwowie. Ten zawyrokował na korzyść Mikołaja Askmanickiego. Jan Sobieski skazany został na wypłatę 40.000 złp. Egzekucja wyroku należała zwyczajnie do starostwa grodzkiego. Udał się więc pan Askmanicki z wyrokiem ziemskim do grodu i zażądał wykonania sprawiedliwości. Posłuszny temu gród przydał zgłaszającemu się sędziego z podstarościm, dwoma woźnymi i kliką szlachty, którzy stronę powodową wwiązać mieli w jedną z posiadłości dłużnika.

Ale wwiązanie takie rzadko kiedy brało skutek od razu. Strona obżałowana okazywała się pospolicie oporną i nie dopuszczała wiazania. W takim razie sąd grodzki ze stroną pokrzywdzoną wydawały dłużnikowi pozew do trybunału. Ten rozpoznawał jeszcze raz sprawę, a przekonawszy się o słuszności powoda, wydał wyrok banicji. I bawiący właśnie na wojnie starosta jaworowski został w ten sposób banitą.

Była to atoli tylko banicja mniejsza, czyli tak zwana cywilna, zwyczajnie bez infamii. Nie pozbawiała ona gardła ani wywoływała z kraju, nie czyniła nawet uszczerbku dalszej służbie w obozie, ale obejmowała władzę piastowania nadal urzędów i pełnienia jakichkolwiek funkcji publicznych. Udzielony sądowi grodzkiemu wyrok trybunalski nakazywał prócz tego wprowadzić oskarżyciela przemocą w jedną z posiadłości strony przeciwnej. W przeciągu ośmiu miesięcy od ogłoszenia banicji musiało nastąpić ostateczne wykonanie wyroku.

Dla uniknięcia tak przykrych następstw banicji należało czynić rychło staranie o jej kasację. Jeżeli przed upływem dwunastu niedziel po ogłoszeniu wyroku nie nastąpiły potrzebne ku temu kroki, banicja stawała się wieczystą. Były zaś takimi krokami najpierw zaspokojenie strony skarżącej, następnie zapozwanie jej do trybunału o zniesienie banicji.

Otrzymawszy poświadczenie zapozwania takiego, potrzeba było uwiadomić o nim sąd grodzki, w którym uzyskana była banicja. Uwiadomienie to musiało nastąpić w przeciągu tygodnia od pozwu do trybunału i wymagało zwyczajnie osobistego stawienia się strony przed sądem grodzkim. Tym razem atoli z niewiadomej przyczyny obeszło się bez takiej osobistej obecności Sobieskiego przed grodem i czytamy w aktach jedynie o wniesieniu pozwu przeciw Askmanickiemu za pośrednictwem woźnego.

Nazajutrz po niedzieli *Oculi* w wielkim poście, tj. dnia 17 marca r. 1653 stanął przed sądem grodzkim woźny nazwiskiem Michał Olszowski ze wsi Brzuchowic i w imieniu pana starosty jaworowskiego, Jana Sobieskiego, oznajmił nie tylko jeden ale owszem dwa pozwy o zniesienie banicji, tj. pierwszy przeciw panu Mikołajowi Askmanickiemu z powodu długu 40.000 złp., drugi przeciw ówczesnemu staroście grodu lwowskiego, jako poprzednio z obowiązku swojego popieraczowi i wykonawcy uzyskanej przez Askmanickiego banicji.

Po oznajmieniu obydwóch pozwów we Lwowie następowała sprawa z zapozwanymi w

Lublinie. Tam za okazaniem przez Jana Sobieskiego poświadczeniem, iż Mikołaj Askmanicki otrzymał należącą mu sumę 40.000 złp., skasowany został poprzedni wyrok z powodu nieuiszczenia tej kwoty i upadła sama przez się banicja.

Odtąd w żadnym ze znanych nam aktów urzędowych do historii prywatnych króla Jana stosunków nie powtarza się nazwisko Askmanickiego. Sobieski zaś właśnie w roku pierwszej banicji swojej wstąpił na szersze pole zasług w ojczyźnie. Aż potąd pełnił on tylko zwyczajne obowiązki każdego z obywateli; odtąd rozpoczął się zawód prac i ofiar nad miarę powinności codziennej.

Jeszcze jako banicie w mocy Mikołaja Askmanickiego, jeszcze przed zniesieniem wyroku w trybunale lubelskim przyszło Janowi wyprawić się na tegoroczną wojnę kozacką i tatarską, która wraz z całym wojskiem królewskim podała go na koniec w niebezpieczeństwo oblężenia pod Żwańcem. Ona też nastęrczyła młodemu sposobność odznaczania się nie tylko męstwem i dzielnością jak dotąd, lecz zarazem ochotą do ofiar z wolności i dostatków.

W połowie grudnia 1653 powiodło się oblężonemu pod Żwańcem królowi nakłonić Tatarów do ugody. Dla większego bezpieczeństwa traktatów potrzeba było zakładników z obojej strony. Tatarzy wysłali w tym celu Murtazę Agę, w obozie ofiarował się do tego młody Sobieski. W ciągu jego zakładniczej niewoli u Tatarów, stanął szczęśliwie pokój, pomyślny wprawdzie dla nieprzyjaciół, ale jeszcze pomyślniejszy zagrożonym zgubą Polakom.

Po zawartej dnia 17 grudnia ugodzie przyszło wyprawić posła od Rzeczypospolitej do Carogrodu. Najprzydatniejszym ku temu okazał się chorąży lwowski Mikołaj Bieganowski, mąż biegły w sprawach poselskich lecz niezamożny. Pożądaną więc było rzeczą, aby przynajmniej które z przedniejszych paniąt królestwa podjęło się towarzyszyć mu z poczem świetniejszym. Ofiarował się do tego znowu młody Sobieski, okryty niedawno banicją za niemożność uiszczenia się z długu, a gotów teraz nadwerężyć fortunę dla przydania świetności poselstwu ojczystemu.

Wdzięczne przyjęcie usługi pozwoliło mu przypatrzyć się wcześniej z najbezpośredniejszego pobliza temu potworowi ottomańskiemu, z którym przez całe życie tak głośnie staczać miał boje – i już w rok po swojej pierwszej banicji wrócił młody starosta jaworowski pełnym znaczenia obywatelem w strony ojczyste.

Drugą sprawę tego rodzaju miał Jan Sobieski w roku w 1659 z klasztorem panien Karmelitanek bosych we Lwowie. Znane nam zapiski urzędowe nie wykazują wprawdzie przyczyny uzyskanego wówczas wyroku wywołania, ale wiele niemniej pewnych wskazówek zgadza się na to, że i tym razem szło tylko o nieuiszczalną wypłatę długu.

Klasztor Karmelitanek bosych z kościołem Oczyszczenia N. Panny, wznoszący się niegdyś



w miejscu dzisiejszego seminarium obrz. łacińskiego przy pałacu arcybiskupim we Lwowie, był fundacji Sobieskich. Założyli go w 1642 oboje rodzice Jana, ojciec Jakób, wojewoda podwólczas ruski, i Teofila Daniłowiczówna. Akta grodzkie i ziemskie z tego czasu zawierają wiele dotyczących tej fundacji zapisów obojga fundatorów, między innymi Teofili Sobieskiej zapis rocznego czynszu 1050 złotych od sumy 15000 zabezpieczonej klasztorowi na dobrach Zboiska i Grzybowice, tudzież Jakóba Sobieskiego zapis rocznego czynszu 420 złotych od sumy 6000, zabezpieczonej na dobrach Glinne, Złoczówka i Kaplińce itp.

Pozostało Janowi po rodzicach mnogo zobowiązań podobnych. Mimo najlepszej atoli chęci trudno było czasem uczynić zadość obowiązkowi. Jak wszyscy możniejsi panowie owej, epoki, tak i starosta jaworowski doznawał niekiedy najdotkliwszego braku gotówki. Było to zwyczajną podwólczas rzeczą, która zwłaszcza przy kilkakrotnym zniszczeniu całej fortuny Sobieskich podczas niedawnych wojen kozackich i tatarskich nie zdziwiła nikogo.

Mianowicie też rok 1659 okazał się przyciężkim szkatule naszego Jana, już teraz chorążym koronnym mianowanego. Wraz z mniszkami N. Panny pozywał go w tym roku także proboszcz oleski ksiądz Krzysztof Kłóński, i wygrawszy sprawę w pierwszych instancjach, groził kollatorowi swojemu uzyskaniem banicji. Przedmiotem sporu była suma 5000 złp., którą jeszcze nieboszczyk pan kasztelan krakowski Sobieski zapisał kościołowi w Olesku, a z której ani ojciec ani syn nie uiścili się do tej pory. Przeto wydany został we Lwowie w dniach 21 i 22 lipca r. 1659 wyrok starościński w drugiej instancji, nakazujący niezwłoczną egzekucję należytości, a to prawnym zajechaniem czyli rumacją dziedzicznych dóbr chorążego.

Takąż a nie inną pretensję miały bez wątpienia także Panny Karmelitanki bosc we Lwowie. Tażsama trudność zaspokojenia słusznych żądań klasztoru we Lwowie, jak i kościoła oleskiego nadała tenże sam obrót w sprawie. Ani w pierwszym, ani w drugim terminie nie znalazły się pieniądze do wypłaty a na koniec za dojściem sprawy przed trybunał koronny wypadł wyrok banicji.

Przyszło więc znowu starać się przed upływem dwunastu niedziel o kasację wyroku. Pierwszym do tego krokiem było jak zawsze uspokojenie strony skarżącej, następnie pozew o uniemożliwienie uzyskanego przez nią wyroku. Jednemu i drugiemu stało się tym razem z większą jeszcze dokładnością zadość niż w poprzednim zatargu z Askmanickim.

Panny Karmelitanki odniosły żadaną sprawiedliwość, a przy oznajmieniu wydanego im pozwu o kasacji banicji sam Jan Sobieski według litery prawa winien był stanąć osobiście w progach grodu lwowskiego i podpisać się własnoręcznie w księgach sądowych. Opiewał dotyczący paragraf konstytucji sejmowej z roku 1616 jak następuje „Powinien sam jure victus

stanać w grodzie przy woźnym, i *personaliter* pisany ma być. A ktoby tego sposobu nie zachował, takiego pozew i proces *ad cassandam bannitonem* otrzymany, ważny nie będzie, ale bannicja w mocy zostanie którą starosta miejscowy exekwować powinien.”

Czego więc w sprawie z warchołem Askmanickim żadnego śladu w księgach grodzkich nie spotykamy, to z jak największą ścisłością dopełnionym zostało w pojednaniu z szanowanym klasztorem Panien Karmelitanek we Lwowie. Wszedł w imieniu chorążego pozew do trybunału o zniesienie banicji, a w przepisany przeciągu jednej niedzieli, tj. we czwartek dnia 26 czerwca 1659: stanął Jan Sobieski w towarzystwie woźnego przed sądem grodzkim we Lwowie dla oświadczenia pozwu. Woźny, imieniem Łuczka, syn kmiecy z Wołczyszczowic, wniósł stosowną relację, a trzydziestoletni chorąży koronny położył na akcie własną ręką czytelny dotąd podpis: „Jan Sobieski chor. kor.”

Takim jedynie upokorzeniem kończyły się banicje niewinnie osławionego „Kaliguli” żółkiewskiego. Kwit Panien Karmelitanek zniósł w trybunale tak groźną dla wyobraźni dzisiejszej karę. Wszakże nawet jako nie rozgrzeszony jeszcze banita nie był Jan Sobieski mniej przykładowym i pobożnym obywatelem, niżby może przystało. W tym samym roku 1659, kiedy probostwo oleskie i klasztor paniński we Lwowie tak uporczywie gniotły go procesami, założył Sobieski we Lwowie dla wysłużonych wojskowych kościoł i klasztor Bonifratrów, wznoszący się niegdyś przy ulicy Łyczakowskiej, w miejscu dzisiejszego szpitala wojskowego.

W porównaniu z doraźną wypłatą kilkunastu tysięcy złotych w gotówce było to dziełem nieskończenie łatwiejszem, gdyż wymagało zwyczajnie tylko zapisu ziemi, o wiele obfitszej i tańszej podówczas od pieniędzy. Dlatego nie szcędzono nigdy darowizn zapisowych, a w niedostatku gotówki przyszło nieraz zostać banitą.

Toż nie uwłaczając pobożnemu charakterowi takich wywołańców niewinnych, nie uwłaczało to również dawnym stosunkom przyjacielskim z stronami, które tak surowych kar nabawiły. Z mniszkami lwowskimi pozostał Jan Sobieski nadal w najlepszym porozumieniu, nazywał je zwyczajnie „naszemi Karmelitankami”, pamiętał troskliwie o ich bezpieczeństwie w czasie niepokoju wojennych, pomieszkiwał chwilowo w ich klasztorze. Jego też staraniem i kosztem przyszła do skutku fundacja tego klasztoru, zaczęła według napisu na istniejącej dotąd tablicy przez rodziców Jakóba i Teofilę w 1642, a dokończona przez króla Jana III w r. 1692.

Mówią o tych Karmelitankach w kilku miejscach listy Jana Sobieskiego do żony, wydane tymi czasy w Krakowie. W nich też, jakby o rzeczy całkiem zwyczajnej, natrąca się wzmianka o trzeciej i najsurowszej banicji, bo nawet z infamią połączonej. Spadła ona na

Sobieskiego w r. 1667, we dwa lata po osiągniętych już dostojenstwach w. marszałka i hetmana w. kor., w siedem lat przed osiągnięciem korony. Uzyskał ją był na Sobieskim chorąży sandomierski, Marcin Dębicki, mając do pana marszałka i hetmana znowu pewną pretensję pieniężną, a wrogi mu przy tym jako przeciwnik tak zwanej frakcji dworskiej.

Pod tym ostatnim względem należała sprawa pana chorążego sandomierskiego z marszałkiem w. i hetmanem koronnym do najciekawszych sporów swojego czasu. Była to walka dwóch stronnictw politycznych tej pory, przeniesiona z bojuwiska zakończonej właśnie wojny domowej na pole rozpraw sądowych. Jak w Janie Sobieskim widziano powszechnie jednego z najpotężniejszych obrońców dworu, tak przeciwnie, chorąży sandomierski Dębicki liczył się do głównych popleczników strony przeciwnej, gardlujących najgłośniej w obronie mniemanych swobód narodu. Lubo słuszenie dziś zapomniany, napotyka się on w tym charakterze dość często na kartach kronik i pamiętników ówczesnych, zwłaszcza w początkach panowania Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego. Możliwe owszem podziwiać w nim niezbyt zaszczytny przykład obywatela, który niczym innym jak tylko gardłowaniem urósł znacznie pomiędzy swymi i narzucił się pamięci.

Przypominając sobie niektóre z charakterystyczniejszych jego wystąpień, widzimy go w r. 1651 po bitwie beresteckiej hersztem nieszczęsnego rokoszu obozowego, który zniweczył wszelkie skutki zwycięstwa. W następnym roku 1652 na sejmie po skazaniu Radziejowskiego, popierał Dębicki, wówczas dopiero podczaszy sandomierski, najzarliwiej sprawę wywołanego podkanclerzego i mieszając coraz bardziej obrady, dopomógł do fatalnego zerwania sejmu. Na ostatnim zaś sejmie za Jana Kazimierza protestuje chorąży sandomierski przeciwko abdykacji i paragrafami paktów konwentów chce zmusić króla do zatrzymania korony. W roku 1670 przy scenie pojednania króla Michała z arcybiskupem Prażmowskim naprzykrza się chorąży arcybiskupowi uszczypliwymi raz po raz przymówkami, które go nabawiają surowej odpowiedzi arcybiskupa i śmiechu wszystkich przytomnych.

Marszałek w. Sobieski uchodził za spółnika arcybiskupa w nieprzyjaznych królowi Michałowi zamysłach. Z nie mniejszą też zawziętością popierał chorąży zapewne wytoczoną mu sprawę sądową. Chodziło zaś o kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy złotych, w których Jan Sobieski zapisał się chorążemu za Hieronima Radziejowskiego. Bawił już Radziejowski od lat pięciu w ojczyźnie i broniony niegdyś tak zarliwie przez chorążego na sejmie winien mu być teraz znaczną sumę pieniężną. Że jednak nie miał z czego zapłacić, wyręczył go zapisem marszałek i hetman w. Sobieski, bliskim pokrewieństwem związany z Hieronimem.

Urodził się bowiem Radziejowski z Katarzyny Sobieskiej, córki wojewody lubelskiego

Marka, był przeto ciotecznym bratem Janowi. Wszakże za swoją gotowość do podania ręki krewnemu nabawił się Sobieski ciężkich kłopotów od chorążego. Nieubłagany przeciwnik frakcji francuskiej zażądał wypłacenia pieniędzy, których niedostatek przywiódł do sprawy w trybunale. Zawarte o niej wzmianki w listach Sobieskiego do żony podają w tej mierze, co następuje.

Dnia 19 maja r. 1666 uwiadamia pan marszałek w. kor. swoją najśliczniejszą duszy i serca pociechę, iż mu grozi wielka sprawa z chorążym sandomierskim. W kilka miesięcy później, dnia 23 września tegoż roku czytamy: „A. Mr. Radziejowski proszę racz Wć. mówić moja panno, że nam Pielaskowice przyjeżdżano znowu zajeżdżać z dekretu trybunalskiego, a to w sprawie z panem chorążym sandomierskim.” Przez cały rok następny toczyła się sprawa dalszą koleją, a dnia 15 grudnia 1667 pisze Sobieski, iż chorąży przewiódł na nim prawo w Lublinie. Wskutek tego wypadł wyrok banicji i infamii, dla której marszałek i hetman w. kor. według listu z dnia 10 kwietnia 1668 nie mógł pierwej jechać na sejm i zająć tam miejsce w senacie, dopóki nie wypłaci 12000 chorążemu.

Owoż wiadoma z historii obecność Sobieskiego na sejmie w początkach roku 1668 przekonywa o dopełnionym poprzednio zaspokojeniu wymagań chorążego, o zniesionej tym samym banicji i infamii. Była zaś obecność Sobieskiego na tym sejmie niezbędną z tej przyczyny, iż miał zdawać sprawę z ukończonej właśnie wojny i ugody z Ordą pod Podhajcami. Jednocześnie bowiem z rzuconą nań w trybunale infamią okrył się Sobieski sławą najpierwszego ze swoich wielkich tryumfów nad pogaństwem i wstąpił właśnie na tę drogę chwały i przeznaczenia, która w tak krótkim czasie doprowadziła go do tronu i nieśmiertelności. W połowie października r. 1667 zmusił Sobieski prawie cudem powstrzymanych Tatarów do opuszczenia ze stratą obozu podhajackiego i całej ocalonej Rzeczypospolitej, i w tychże właśnie tygodniach odniósł nad nim chorąży sandomierski swoje zwycięstwo trybunalne, odsadzające Sobieskiego od praw obywatelskich i czci.

Takim sposobem wszystkie banicje Sobieskiego nie tylko żadnego moralnego wykroczenia w nim nie karały, lecz jakby umyślnym zrządzeniom losu łączą się zawsze z jakimś czynem chwały lub pobożności. Pod wyrokiem pierwszej banicji naraża się młodzieniec dobrowolnie na niebezpieczeństwo zakładu u niewiernych; gdy druga banicja na nim ciążyła, funduje chorąży kor. klasztor z przytułkiem dla starości i nędzy; trzecią przyciśniony banicją, ocala kraj i dopełnia całkiem nieznanego dotąd aktu bogobojności, tj. odbywa dawno ślubowaną pielgrzymkę do stolicy świętego Piotra. O tym to czynie pobożnym mowa nam teraz.

Nie znalazłszy w Janie Sobieskim żadnej winy jako w banicie, znajdujemy w nim tym więcej zasługi jako pielgrzymie. Odbił on swoją zapomnianą dziś drogę rzymską w wieku późniejszym, zniewolony do tego ślubem lat młodych. Był to ślub wdzięczności za podwójne ocalenie od śmierci, bo naprzód od ciężkiej choroby we Lwowie na wiosnę roku 1652, a zarazem od pewniejszej jeszcze zguby w strasznej o tymże samym czasie rzezi tatarskiej pod Batowem, której młody starosta Jaworowski jedynie tem uniknął, iż złożony długą chorobą w domu, nie mógł towarzyszyć bratu na wojnę.

Dwudziestoczteroletni brat Marek zginął na krwawych polach batowskich, młodszy o 15 miesięcy Jan odzyskał szczęśliwie zdrowie i miał nadto podziękować Bogu za poniewolną nieobecność w bitwie morderczej. Owszem od niewielu miesięcy był to trzeci znak jawnej łaski Bożej nad Janem, również cudownie ocalonym w zeszlórocznej bitwie pod Beresteczkiem. Oto kilka współczesnych wyrazów o tym podobnie nieznanym dotąd szczególe. Skreślił je człowiek niedługo potem zmarły, a tym samym niezdolny przewidzieć jeszcze losów młodzieńca, o którego uratowaniu tak pożądaną zostawił wzmiankę.

„Trwał bój krwawy niemal dwie godziny” – czytamy w diariuszu Stanisława Oświecima o wtórym dniu bitwy beresteckiej czyli dnia 29 czerwca 1651 – „z wielką naszych szkoda, których ochota rycerska trochę dalej niżeli było potrzeba bez posiłków uniosła i siła ich na placu legło...

Sobieski, starosta jaworowski, już od pogan był zagarniony, ale cudownie od nich eliberowany... i wzięto jednego znacznego murze młodego, który zajeżdżał pana starostę jaworowskiego, jegoż towarzystwo żywcem pojmało.”

W rok później, tegoż samego miesiąca czerwca, w którym Jan pośród trzasku piorunów przyszedł na świat w zamku oleskim i którego stoczona została bitwa pod Beresteczkiem, uszedł on także śmierci na łożu we Lwowie i w obozie batowskim. Widoczny w tym wszystkim palec Boży przeniknął do głębi myśl i serce młodego wojownika. Od najwcześniejszych lat nauczył się Jan Sobieski wierzyć w osobliwszą opiekę niebios i upatrzone w tym przeznaczenie do niezwykajnie wielkiej przyszłości.

Okazuje się to np. ze słów samego króla Jana III, który w znanym urywku o rodzie i życiu swoim powiada, iż go losy albo raczej wola Boża od tej zguby zachowały – a w dialogowym pamiętniku współczesnego autora, pod tytułem „Rozmowy zmarłych Polaków” jeszcze charakterystyczniej dodaje: „I to był pierwszy znak woli i Opatrzności boskiej, że mnie destynowała na wielkie rzeczy, kiedy mi chorobę przysłała i do łóżka przykowała. Inaczej zdrowy poszedłbym ochotnie tak jako i brat mój i zginąłbym był tak jako i brat.”

Wśród takich okoliczności nie powszedniejszego w onym stuleciu jak zobowiązać się Bogu pewnym ślubem dziękczynnym. Młody starosta jaworowski ślubował pielgrzymkę do progów apostolskich. Nastąpiło to przyrzeczenie jakoś w porze zimowej między rokiem 1652 a 1653. Wpłynęła na nie zapewne rada pobożnej i ukochanej ciotki Doroty Daniłowiczówny, ksieni klasztoru panien Benedektynek we Lwowie, która niemniej czule od matki pieczołowitemu Janowi stała się najdroższą osobą w całej rodzinie, prawdziwą powiernicą najskrytszych uczuć. Zaledwie też młody Sobieski doszedł tymi czasy pełnoletności, pierwszym czynem jego zupełnej samowładzy znamy bogatą darowizną na rzecz ukochanej ciotki Doroty i jej klasztoru panińskiego we Lwowie, zeznaną w aktach ziemstwa lwowskiego pod dniem 26 czerwca roku 1653.

Łatwiej wszakże było młodemu ślubować wówczas pielgrzymkę rzymską, niż znaleźć porę do jej podjęcia. Tuż po ślubie złożonym, przyszło Janowi odbyć półroczną wojnę zwaniecką i towarzyszyć następnie wielkiemu poselstwu królestwa do Carogrodu. W samej porze jego legacji carogrodzkiej wybuchła r. 1654 wojna moskiewska, do której roku 1655 przybyła najstraszniejsza ze wszystkich – szwedzka. Gdy zaś po ośmiu latach ciągłego poszczęku broni i ciągłych obowiązków wojennych stanął w roku 1660 traktat oliwski ze Szwecją, a r. 1664 chwilowy rozejm z Moskwą, zaniósł się w roku następnym na dwuletnią wojnę domową z Lubomirskim, wymagającą aż po koniec r. 1666 ciągłej obecności Jana Sobieskiego przy boku króla.

Takim sposobem szło w coraz dalszą odwołkę spełnienie ślubowanej pielgrzymki rzymskiej. Już lat czternaście mijało, a cudownie zachowany brat Marka chodził jeszcze w swoim ślubie pobożnym. Już znaczna część spodziewanych znaków łaski niebieskiej ziściła się na Janie, a dług dawnej wdzięczności ciążył jeszcze niewypłacony niebiosom. W ostatnim lat dziesiątku pobłogosławił Pan Bóg Janowi dalszem zachowaniem go od wszelkich niebezpieczeństw wojennych, przychyleniem mu najwyższych dostojeństw kraju, wysłuchaniem najgorętszych próśb jego serca.

Owszem, jak w całym życiu Sobieskiego pełno znamion kierującej nim cudownie Opatrzności, tak i te nader cenne dla niego dary spłynęły nań razem, niespodziewanie, jakby cudownym zrządzeniem niebios. Jednego i tego samego 1665 roku zostaje dotychczasowy chorąży koronny najprzód marszałkiem wielkim, następnie hetmanem polnym koronnym, wreszcie po dziesięcioletniej beznadziejnej miłości małżonkiem świeżo owdowiałej wojewodziny sandomierskiej Marii Kazimiery Zamojskiej. Zdało się, jakby niebo po długim oczekiwaniu utrudnionej przeciwnościami pielgrzymki chciało obsypać go szczęściem na próbę, czy terażniejsze upojenie rozkoszami ziemskimi nie przytępi mu do reszty uczucia

obowiązku względem sprawcy wszelkich cudów i wszelkich łask.

Ale Jan Sobieski okazał się godnym ręki, która go prowadziła. Odroczywszy tak długo pielgrzymkę rzymską dla pełnienia tymczasem wiernych usług ojczyźnie, nie ociągał się dłużej z wypełnieniem obowiązków dla dogodzenia szczęściu swojemu. Pierwsza chwila wewnętrznego i zewnętrznego spokoju kraju przeznaczoną została do uiszczenia zaprzysiężonej od tak dawna ofiary.

Była to długa chwila między upływającym właśnie rokiem 1666 a wiosennymi wypadkami w roku następnym. Nie brakło wprawdzie i pod tę porę niebezpieczeństw nad krajem, lecz po nieskończone sroższych doświadczeniach niedalekiej przeszłości można było patrzeć na nie bez trwogi. Ucicha właśnie burza nagłego zagonu tatarstwa aż pod Kamieniec i dalej, o której listy warszawskie z dnia 1 i 8 stycznia 1667 mówią jako o minionej już rzeczy. Wtedy też zakończył się rozpoczęty roku zeszłego sejm, w miejscu którego miał na wiosnę odbyć się nowy. W tejże nareszcie porze rozpoczęły się traktaty ostatecznego pokoju z Moskwą, zawartego istotnie w Andruszowie pod koniec stycznia roku 1667.

Mógł więc marszałek w. kor. znaleźć chwilkę swobody do spełnienia obietnicy pobożnej. A co przez tak długie odwlekało się czasy, to na koniec wcale niespodziewanym sposobem przyszło do skutku. Zamiast odbyć pielgrzymkę obyczajem swojego czasu i stanu, tj. dworno, uroczystie, powolną i okazałą podróżą, wypadło Sobieskiemu użyć jak największego pośpiechu, a tym samym zrzec się wszelkiej wystawności i pompy. Za lada trawką wiosenną mogli Tatarzy okazać się na nowo w dzikich polach, a w takim razie pobożność hetmana polnego w odległych stronach wcale niepożądaną cerkwiom ukraińskim i całemu chrześcijaństwu była przysługą.

Słuszaby nawet mniemać, iż dla omylenia czujności nieprzyjaciół umyślił Jan Sobieski odbyć swoją podróż całkiem kryjomo. Odpowiadał pośpiechowi i tajemnicy najlepiej sposób podróżowania pocztą, nie używany wprawdzie dotąd przez pobożnych magnatów polskich, ale nader dogodny w położeniu obecnym. Jedyne też taką jazdą pocztową można było stanąć w Rzymie na termin naznaczony od dawna wykonaniu pielgrzymki. Pragnął bowiem marszałek w. kor. nawiedzić stolicę apostolską w uroczystości katedry św. Piotra, przypadającą ówczesnym zwyczajem na dzień 18 stycznia, a jeszcze w drugiej połowie grudnia r. 1666 bawiąc we Lwowie, jakimże innym sposobem zdołałby był Sobieski dopiąć życzenia?

Zgodził się tedy na niezwykajny rodzaj pielgrzymki pocztą, i zjechałszy około 20 grudnia 1666 r. do stolicy województwa ruskiego, zajął się w milczeniu najpotrzebniejszymi przygotowaniem do drogi. Tak wielki przy tym panował pośpiech, iż nie pozostało nawet

czasu do zażądania woli królewskiej. Musiał wystarczyć list marszałka w. kor. do króla, oznajmiający jego nieodzowną podróż do Rzymu, z przyrzeczeniem rychłego powrotu do dalszych usług. Zwyczajnym Janowi Sobieskiemu duchem bogobojności natchnione, brzmiało to pismo jak następuje.

**List od króla JM. do Jaśnie wielmożnego JEMci Pana Marszałka wielkiego kor. wyjeżdżając do Rzymu 1667 roku.**

„Uczyniwszy od lat prawie czternastu ślub po mojej wielkiej chorobie do progów apostolskich, nie przyszło mi do wykonania tego winnego Bogu i stolicy świętej długu dla consideracji samej usługi W.K.M. na przyszłych sejmach tak potrzebnych, na których wisiała sława wielkiego imienia W.K.M. i dobra publicznego, o których nie jedyne wieki długo mówić będą. Teraz nie chcąc dłużej odkładać com Bogu obiecał, ani przewalać do lat późniejszych usprawiedliwienia się winnego, a widząc czas wolny, biorę Posztę, abym w kilku niedzielach mógł to wykonać, i na Wielką Noc do usługi W. K. M. powrócić, założywszy sobie termin stawienia się w Rzymie na uroczystość katedry św. Piotra. Ufam tedy mocno, że W.K.M. Pan mój miłościwy, jako wielkiej pobożności pan, miłościwie przebaczyć będziesz raczył tak pobożnej i godnej uwzględnienia potrzebie wiernego i uniżonego sługi swego, ani poczytasz za winę, że sam osobiście nie upadam pokornie do nóg jego pańskich dla krótkości terminu mego. Wszakże i tam jeśli gdzie westchnienia moje będą: wylewać onych nie przestanę, za Conservatią wielkiego Imienia Osoby i szczęśliwego panowania W.K.M. Którego jestem wszędy, zawsze i dożywotnie...

Stało się też niezawodnie według zamysłu pobożnego. Za wiedzą jedynie kilku poufnych osób znikł Jan Sobieski na kilka tygodni z Polski, goniąc w dojrzałym wieku za ziszczeniem ślubu młodzieńczych lat. Podczas gdy wszyscy mniemali go w Żółkwi lub w Jaworowie, u boku niedawno pojętej żony, on po wybornie znanej Polakom drodze cwałował pocztowymi końmi na Wiedeń, Friul, Weronę do wiecznej Romy. Po uderzeniu tam czołem o progi apostolskie, po jednym z owych gorących westchnień piersi pobożnej, jakie oprócz niego niewielu zapewne przyszłych królów wysłało w niebiosy, również szybka podróż wróciła bohatera ojczyźnie. Dnia 21 grudnia 1666 roku widzimy go jeszcze urzędującym we Lwowie, a w połowie maja 1667 r. dowodzi on znowuż wojskiem w pobliżu Lwowa, przygotowując się do sławnej wojny podhajeckiej w tym roku.

Wierne bowiem spełnienie dawnego ślubu odwdzięczyło się Janowi. Właśnie w porze jego podróży rzymskiej zawakowała w. buława koronna, opróżniona śmiercią hetmana Stanisława



Rewery Potockiego dnia 23 lutego 1667 r. Z wziętą po nim buławą w rękę stanął Sobieski tuż za powrotem z pielgrzymki do pierwszego z tych wielkich bojów z pogaństwem, które przez lat przeszło dwadzieścia roznosiły odtąd sławę jego imienia po całym świecie, rozbiły i rozbiły pęta niewoli ottomańskiej nad Europą. Podhajce, Katusz, Chocim, Żurawno, Wiedeń – obok tych wawrzynów w zwycięskiej walce o swobodę i bezpieczeństwo półświata, czymże sama korona polska, którą już w 7 lat po nagłej drodze rzymskiej uwieńczył naród swego pielgrzyma?... Tylko przywiązany do niej charakter nagrody za ocalenie ojczyzny może postawić ją na równi z owymi wawrzynami w obronie chrześcijaństwa.

U Podhajec, pod Chocimem i Wiedniem widział Sobieskiego ze zdumieniem świat wszystek – w Rzymie u progów apostolskich tylko Pan Bóg nań patrzył. A przecież nie urojeniem będzie uwierzyć, że ta chwila wywiązania z dawnej niebiosom obietnicy, ta chwila złożenia u podnóża ołtarzów rzymskich ciężącego na nim od tak dawna długu wdzięczności, przyczyniła się potężnie do rozwinięcia w nim owych skrzydeł natchnienia, które później wznieść go miały tak wysoko na polach chocimskich i wiedeńskich.

Ale dla oczu ziemskich minęła niedostrzeżenie ta chwila. Żaden z dotychczasowych biografów Jana Sobieskiego nie zna jego dorywczej pielgrzymki rzymskiej. W żadnym ze znanych źródeł owego czasu nie przypomina się nam najdalsza wzmianka w tej mierze. Tylko ów przypadkiem natrącony list Sobieskiego do króla, tak przekonywający swoimi znamionami autentyczności i zgodą wszelkich zawartych w nim szczegółów życiorysu i wypadków bieżących, pozostał jedynym, lecz dostatecznym świadectwem.

Nie zwrócono na nie żadnej dotąd uwagi, ponieważ w ogólnym nadpisie dokumentu „List w. marszałka kor. do króla o drodze rzymskiej r. 1667.” – nie uderzało od razu nazwisko Sobieskiego, nigdy z jakimkolwiek wspomnieniem podróży do Rzymu nie łączone. Oprócz bijącej zaś z samego listu prawdy zdarzenia poświadczą ją naszym zdaniem najlepiej to, co na pozór mogłoby osłabiać wiarę w rzeczywistość wypadku – tj. zupełny brak wiadomości o Janie Sobieskim w trzech pierwszych miesiącach r. 1667. Zbývá wprawdzie na wszelkich bliższych wskazówkach o drodze rzymskiej w tej porze, ale nie ma też zarazem śladu jakiegokolwiek czynności jego natenczas w Polsce. – Jan Sobieski był nieobecny podwóczas w Polsce, pielgrzymując pocztą do progów rzymskich.

-----

Tak w jednym i tym samym czasie r. 1667 widzimy naszego Jana pobożnym wędrowcą do stolicy św. Piotra, pogromcą pogaństwa na polach podhajeckich, wywołańcem w trybunale lubelskim. Tylko główny z tych trzech wypadków bogdaj częściowo jest oceniony, dwa podrzędne świeżo z ukrycia wyszły, a wszystkie razem dotyczą nie najgłośniejszej w dziejach

naszych postaci, na pozór tak dokładnie już znanej. Ileż równie ciekawych niespodzianek czeka nas jeszcze w coraz jaśniej rozwidniającym się mroku tych dziejów – w nieprzejrzanym lesie tych aktów, listów, zapisków pamiętnikowych, które niezliczonymi stosami i plikami rozrzucone po wszystkich kątach, ukrywają w sobie całą drugą połowę historii naszej, całą historię społeczną, rodzinną, obyczajową. Dopiero po zupełnym przeniknięciu tych gęstwin leśnych, po przekarczowaniu tych nieprzejrzaných zarośli, odsłonią się nam tysiące nowych widoków na przeszłość naszą, nabędą wyrazu i świeżego wdzięku widoki dotychczasowe, zrozumiemy niejedno, co dotąd zagadką lub złudzeniem. Do archiwów więc, do aktów i rękopisów po światło! – do pracy żmudnej i długiej, ale jakże bogatej w plony oku zdrowemu.

## WNUKA KRÓLA JANA III

Po śmierci króla Jana III rozprószył los w dziwny sposób jego rodzinę. W niespełna 20 lat od zgonu ojca każda z pozostałych sierot w innej żyła ustroni. Wdowa królewska, Maria Kazimiera, przeszło siedemdziesięcioletnia matrona, spędziwszy kilkanaście lat w Rzymie, oczekiwała śmierci we Francji, w zamku Blois. Najmłodszy z synów, Konstanty, pozostał w ojczystym gnieździe, w Żółkwi. Średni, Aleksander, żywy obraz zmarłego króla, gasł w Rzymie w klasztorze Kapucynów. Najstarszy wreszcie, królewicz Jakób, zaślubiony z księżniczką palatyńsko-neoburską Jadwigą, mieszkał na Śląsku, w mieście Oławie, wypuszczonym mu ugodą familijną od szwagra, cesarza Leopolda.

Oprócz młodo zmarłego syna, Jana, nie dał Pan Bóg męskiego potomstwa dworowi oławskiemu. Przyozdabiały go za to trzy piękne córki, Kazimiera, Karolina i Klementyna. Najstarsza z księżniczek, Kazimiera, wychowana przy babce w Rzymie i w Blois, miała w porze naszego opowiadania lat dwadzieścia trzy; młodsza Karolina, poślubiona później z kolei dwóm z królewskim domem Francji spokrewnionym księżtom de Bouillon, liczyła lat dwadzieścia; najmłodsza Klementyna – zaczęła rok siedemnasty. Przez swoją matkę Jadwigę, której jedna rodzona siostra była za cesarzem Leopoldem, druga za hiszpańskim królem Karolem, trzecia za Piotrem portugalskim, zostawały wszystkie trzy wnuczki Jana III w stosunkach bliskiego powinowactwa z najpierwszymi dworami europejskimi. Z tym blaskiem urodzenia łączyły wszystkie najpiękniejsze przymioty duszy. Najstarsza siostra zdołała już w latach dziecięcych wzbudzić swoją bystrością umysłu podziwienie papieża Klemensa XI. Najmłodszą z sióstr Klementynę, bohaterkę szkicu naszego, córę chrzestną tegoż papieża, od którego także otrzymała swe imię chrzestne, obaczym w końcu wzorem cnót chrześcijańskich. W obecnej porze młodości nie umiano nachwalić się jej wdzięków. Nie był więc bez powabu książęcy dwór w Oławie.

Owoż do tego dworu przybył w lipcu roku 1718 nieznany nikomu cudzoziemiec, irlandzki szlachcic Murray, niosący ważną domowi wieść. Zawierała ona prośbę młodego Jakóba Stuarta, uważanego w całej zachodnio-południowej Europie za prawego króla W. Brytanii, o

rękę najmłodszej z księżniczek, Klementyny. Lubo Stuartowie żyli obecnie na wygnaniu, czyniła ta odezwa wielki zaszczyt Sobieskim. Królewski ród Stuartów był dla całego katolickiego świata przedmiotem najgłębszej czci. Nad wielkość światową, nad blask trzech okazałych koron świeciła w nim rzadka gorliwość religijna. Już piękną a nieszczęśliwą Marię Stuart, surową katoliczkę, prześladowaną i zagubioną przez stronnictwo protestanckie, otaczał poniekąd urok męczeństwa religijnego. Jej wnuk, angielski król Karol I, ścięty w rewolucji z roku 1649, przypłacił życiem swoją przychylność ku wyznaniu katolickiemu. Młodszy syn tegoż Karola, późniejszy król Jakób II, wróciwszy do korony, wolał na nowo pójść na wygnanie, niż ostygnąć dla swojej wiary. Żyjąc na ziemi francuskiej, wychował on w tych samych zasadach swojego syna Jakóba, naszego przyjaciela Sobieskich. Młody Stuart, po śmierci ojca przez wszystkie prawie katolickie dwory prawym monarchą Anglii uznany, nie odrodził się od swoich przodków. Pobożny, łagodnego usposobienia, słodki w pożyciu, trwał on wiernie w katolicyzmie. Na tronie angielskim siedziała jego rodzona siostra Anna, oddana wyznaniu anglikańskiemu. Gdy mu ze strony siostry zaofiarowano następstwo tronu, byle zmienił wyznanie, Jakób wzgardził ofiarą. To podwoiło powszechne dlań uwielbienie, lecz nie przeblągało losów przeciwnych. Po niedawnym zawarciu pokoju między Anglią a Francją, utracił młody Jakób dyplomatyczną opiekę Ludwika XIV. Pozostały mu jeszcze spólcucie stolicy apostolskiej, życzliwość katolickiej Hiszpanii i wierność starodawnego stronnictwa w Anglii i Szkocji. Polegając na tej podporze, umyślił młody Stuart, dwoma laty przed ślubnem poselstwem do Oławy, wystąpić z swoim prawem przeciwko następcy królowej Anny, Jerzemu Hanowerskiemu, dalekiemu baratankowi domu Stuartów. Nie sprzyjało mu przecież szczęście tym razem. Stronnictwo króla Jerzego przeważało szalę na swoją stronę. Jakób musiał wrócić do Francji. Przyłgnęła mu odtąd smutna nazwa pretendenta. Opuszczony od Burbonów, udał się wygnaniec królewski pod opiekę dworu rzymskiego. Panujący jeszcze Klemens XI, zaprosił go naprzód do Awinionu, potem do Włoch. Przyjęty tam z wszelkimi honorami królewskimi otrzymał młody Stuart zapewnienie corocznych sum ze skarbu papieskiego i świetną rezydencję w Urbino. Nim zaś przyszłe wypadki miały mu ułatwić powrót do tronu, zależało opiekunom i stronnikom Jakóbowym na zabezpieczeniu potomków sprawie królewskiej. Wszczęły się więc zabiegi o wyswatanie króla. Wchodziły w to rady i propozycje różnych dworów przyjaznych. Stolica apostolska oświadczyła się za rodziną Sobieskich, mianowicie za młodszą z córek królewicza Jakóba, księżniczką Klementyną. Obraz, jaki o niej zrobiono Jakóbowi, wzbudził w nim szczerą skłonność. Późniejsze okoliczności zmieniały to uczucie w najwyższą z obojej strony miłość. Przekonują o tym wszelkie kroki Jakóba, wszelkie wyrazy jego listów, całe domowe pożycie

obojga w latach następnych, osobliwie zaś upewnienia świadków naocznych, nawet takich, którzy byli przeciwni połączeniu się młodego króla z Sobieską, a których zdaniem można mu było tylko jedną zarzucić wadę tj. zbyt przywiązanie do Klementyny. Z prawdziwą tedy obawą serca wyprawił Jakób z Urbino (24 czerwca 1718) do rodziców księżniczki Klementyny i do niej samej listowną prośbę o rękę. „Dawano już” – pisze Stuart do księżniczki w tym pierwszym liście – „przymioty twoje, Pani! i Twa osoba, są celem uwielbienia mojego. Pochlebstwa i próżne słowa nie umiałyby zadowolić duszy, jak twoja. Mam jednak błogą nadzieję, iż nie odrzucisz ofiary serca, które ci się oddaje bardziej z skłonności niż z obowiązku, a które nie zna innego życzenia, jak tylko widzieć Cię zawsze szczęśliwą. Twoje cnoty, Pani! ściagną nowe błogosławieństwa na słuszność sprawy mojej i podwoją gorliwość i przywiązanie moich wiernych poddanych. Oby ten domiar osobistego szczęścia mojego stał się początkiem tej dalszej pomyślności, którą dzieląc wraz z tobą, cenilibym tylko o tyle, o ile ona Ciebie dotyczy...”

Żadne przeszkody nie przeciwiły się życzeniom Jakóbowym ze strony książęcego dworu w Oławie. Ojciec księżniczki, królewicz Jakób Sobieski, dawał mu od lat wielu dowody szacunku i życzliwości. Matka, księżniczka palatyńska Jadwiga, na mocy dawnego skoligacenia rodziny Palatyńskiej z domem Stuartów, kuzynka Pretendenta, gotowa była wspierać go wszelkim swoim wpływem u córki. I taż córka nareszcie nie mogła prawdopodobnie zachować się obojętnie. Jej nadzwyczajna żywość uczucia, cechująca ją w całym dalszym przeciągu życia, jej młodociana wyobraźnia i poświadczona późniejszym życiem wzniosłość umysłu, musiały upodobać sobie w obrazie tego rycerskiego, nieszczęśliwego młodzieńca, przynoszącego jej w darze berło trzech królestw, a proszącego ją o przychyłość jako o jedyną łaskę i pociechę w niedoli. Wiszący nad nim oręż prześladowania wspierała gra Fortuny, do jakiej zniewalały go losy, tym głośniejsze za nim w szlachetnym a śmiałym mówiły sercu. Głębokość i trwałość uczuć, jakie u księżniczki później ujrzemy, wzmogły początkową przychyłość z przeciąganiem czasu w przywiązanie bez granic. Odpowiadając tedy wzajemnością królowi, poświęcała mu księżniczka całą duszę na zawsze. A odpowiedź jej wypadła w istocie pomyślnie dla Jakóba. Księżniczka Klementyna została zaręczona solennie Stuartowi.

Tak szczęśliwym początkom groziło przecież niemałe nadal niebezpieczeństwo. Przeciwnie Jakóbowi mocarstwa, zwłaszcza W. Brytania widziały z niechęcią zamysł jego zaślubin. Dwór austriacki, wspierany od Anglii w świeżo ukończonej wojnie hiszpańskiej, pozostawał w najściślejszym przymierzu z królem Jerzym. Królewicz Jakób Sobieski, tak swoim zamieszaniem w austriackim podwólczas Śląsku, jako też swoją familijną zawziętością od

dworu cesarskiego, obowiązany był nie postanawiać o ręce córki bez rady i zezwolenia w Wiedniu. Niezasięgnięcie zdania cesarskiego, wraz z sprzeciwieniem się całą sprawą widokom Anglii, naraziły projekt ślubny na gniewny opór Austrii i Anglii. Tak potężna opozycja była w stanie zgruchotać nierównie większe zamiary. Zamysł oblubieńców oławskich, jeśli nie chciał rozbić się o tę skałę, musiał niezwyklej używać ostrożności, musiał najgłębszą osłaniać się tajemnicą. Stąd jeden skromny oddawca listu, Irlandczyk Murray, wierny towarzysz wyznania Jakóbowego, starczył za całą ambasadę swadziebną. Pakiety wiezionych przezeń listów musiały być niegrube, aby w razie potrzeby dały się ukryć z łatwością. Na koniec uznano za rzecz stosowną, nie kłaść nawet podpisu w listach. Taka tajemniczość ubarwiała cały stosunek kolorytem romantyczności. Przeszkody zaostrzały moc pożądania. Najżywsze też wzruszenie serca przebija się we wszystkich listach Stuarta. „Jestem uszczęśliwionym” – pisze on do księżniczki w 6 tygodni po pierwszym liście (3 sierpnia), odpowiadając na otrzymane już przyzwolenie z jej strony – jestem pełen radości, jaką tylko ty, Pani, wzbudzić możesz, lecz jestem oraz pełen niepokoju i trwogi. To niech maluje Ci stan, w jaki wprawiłaś mię twoim listem, w którym wyczytuję zapewnienie szczęścia mojego. Lecz szczęście to pozostanie tak długo niepełnym, aż póki nie przyjdzie chwila, w której przy moim boku Cię ujrzę. Nie zwlekaj więc, (zaklinam Cię, o Pani!) dopełnić szczęścia mojego, i ponieważ wszystko, co tylko ma pozór niedoskonałości, byłoby niegodnym Ciebie, dokończ, coś tak błogo zaczęła. Potrzeba, abyś nie tylko zezwoliła na rychły wyjazd, lecz abyś go owszem sama przyśpieszyć chciała. Tylko to jedno może uskromić cierpienia twego wiernego sługi i wielbiciela. Przebac otwartości listu mojego. Pochodzi ona z serca, wylanego dla Ciebie, Pani! A dając ten jedyny raz powodować się prośbą i radą moją, staniesz się na zawsze (że śmiem użyć tego wyrazu) panią swojej własnej i mojej woli...”

Również gorące prośby zasyłał Jakób rodzicom. Stało się zadość w niedługim czasie. Mając wzgląd na niepodobieństwo przybycia Stuarta do Oławy, wyjechała królewiczowa Sobieska z córką do Włoch. Podróż odbywała się *incognito*. Miano ominąć Wiedeń. Dla uniknięcia uwagi zaniechano wszelkiej wystawności w podróży. Kilku przybocznych dworzan składało całą służbę. „Skromna biała suknia” – pisze narzeczony do ojca – dostateczną jest w wielkiej żałobie mojej.” Wyprawiony naprzeciw damom poufnik Stuartów, niejaki pan de Hay, służył za przewodnika. Sam młody Stuart, oczekiwał oblubienicy w Bolonii.

Wtem po całotygodniowej przerwie w korespondencji doszła go wiadomość, iż obiedwie damy zostały powstrzymane w Insbrucku. Nie chciano im żadną miarą pozwolić dalej do

Włoch. Wracać z wstydem do domu nie chciały damy. Pozostawiono je więc w mieście pod strażą. Wypadek ten nie był zupełnie niespodziewanym. Nie przeszkodziło to przecież, iżby nie zabolął gwałtownie. „Pozwalam ci, Pani, wyobrazić sobie” – przemawia Jakób w liście do narzeczonej, nazajutrz po otrzymaniu wieści bolesnej – jak mnie dotknął ten cios. Nie chcę atoli szerzyć tu skarg i lamentów, na których zaprawdę nie zbywa, które przecież ani są godne, aby ci je składać w ofierze, ani w czemkolwiek przyniosłyby ci ulgę. Tylko tę jedyną niech mi wolno będzie zrobić uwagę. Oto teraz właśnie mamy sposobność okazać, iż obopólnie jesteśmy godni siebie. Okażmyż to naszą nieugiętą stałością i wytrwałością, którą przy łaskawej pomocy niebios złamiemy niewątpliwie wszelkie zasady stawiane szczęściu naszemu. Serca nasze stworzone są dla siebie. Boskie i ludzkie prawa mówią za nami. Tylko nasza własna małoduszność byłaby w stanie rozerwać, co Bóg złączyć zamierzył. Błagam cię, Pani! więc i zaklinam: bądź stałą! Nie zezwól nigdy na bezowocny powrót do domu. Najmniejsza uległość w tej mierze wszystkoby zniweczyła. A stałością swoją, swoim (że tak powiem) uporem, wszystko pokonasz! Ale czemuż całe brzemień tego smutnego położenia spada na Ciebie samą!... Jeśli mniemasz, Pani! że obecność moja może być użyteczną, racz tylko skinać! Będę miał skrzydła, skoro przemówisz. Gdy idzie o przysłużenie się Tobie, niczem trudy, niczem niebezpieczeństwa. I wolałbym być więźniem razem z tobą, niż panować bez Ciebie...”

„List W. K. Mości” – odpowiada księżniczka w pięć dni później – „przyniósł mi wielką pociechę w smutku. Zatrzymują nas bez przyczyny. Mam przecież nadzieję, iż Bóg nie pozwoli dręczyć nas długo. Bądź więc cierpliwym, Panie! Przede wszystkim nie narażaj się na daremne niebezpieczeństwa. Księżna matka moja nie ustąpi w niczem, bądź pewien. Co do mnie, czuję zanadto mocno, iż tu idzie o szczęście moje i honor mój, abym nie miała naśladować jej wytrwałości. Zresztą i serce moje tak każe. Cokolwiek tedy stanie się, będę upartą do ostateczności i nie oddam ręki mojej nikomu, oprócz waszej Król. Mości”.

Wszakże i przeciwnicy umieli być wytrwałymi. Nie pomogły najusilniejsze starania o uwolnienie księżniczek. Na próżno domagały się tego przesłane do Wiednia przedstawienia oblubieńca i ojca. Daremnie udał się Pretendent śpiesznie do Rzymu, prosząc papieża o protekcję. Klemens XI, główny skojarzyciel związku ślubnego, nie omieszkał wstawiać się u dworu. Po zasięgnięciu listowych dowodów, iż księżniczka Klementyna z własnej, nieprzymuszonej woli uczyniła Jakóbowi przyrzeczenie małżeństwa i trwa stale w postanowieniu, nastąpiła powtórna odezwa papieska. Wszelkie atoli zabiegi i przedłożenia pozostały bez skutku. Niewola księżniczek w Insbruku przeciągała się od miesiąca do miesiąca, przez całą zimę, aż do wiosny roku 1719.

W takim składzie okoliczności pozostawała tylko myśl o ucieczce. Powziął ją rychło Pretendent. Już w kilka tygodni po uwięzieniu nadmienił on o tym w liście do narzeczonej. Jednocześnie stanął w Insbruku śmiały powiernik Stuartów, Irlandczyk Wogan, mający wykraść księżniczkę. Ta jednak oznajmiła, iż tylko za zezwoleniem rodziców opuści Insbruk. Rodzice zaś z bardzo zrozumiałych skrupułów czynili zrazu trudności. Chodziło więc naprzód o nakłonienie księstwa obojga. Użył Jakób najusilniejszych ku temu środków. W poufnej audiencji u papieża Klemensa XI, okazał listy księżniczki, przekonujące o ścisłości zawartych pomiędzy nimi ślubów. Ojciec św. uznał, iż wobec tak solennych z obojej strony zobowiązań się, żadne przeszkody nie powinny utrudniać drogi do błogosławieństwa u stóp ołtarza. Wyszedł zatem w tej myśli jeden nowy list do cesarza, żądający wolności dla narzeczonej; drugi zaś (10 grudnia) do jej ojca, królewicza Jakóba, przedstawiający mu, iż nie tylko nie ma prawa wzbraniać córce drogi do Włoch, lecz owszem ma powinność dopomóc jej do połączenia się jakimkolwiek sposobem z oblubieńcem. Podziękowała za to księżniczka swemu ojcu chrzestnemu Klemensowi XI (25 grudnia), oddając się jego opiece i ponawiając przyrzeczenia wierności narzeczonemu. To dało powód do listu samegoż papieża (13 stycznia r. 1719) do księżniczki, w którym Ojciec św., obok nader łaskawych upewnień przychylności, utwierdził ją najmocniej w zamiarze dopełnienia coprędzej zobowiązań, będących w istocie, jak list papieski wyraża się, „takiej wagi, iż uczyniwszy je raz, należy z narażeniem wszystkiego starać się o jak najrychlejsze przywiedzenie ich w skutek. Co do nas” – kończy papież – „możesz W. Książęca Mość liczyć na to, iż nie przestaniemy wspierać jej w tej ważnej sprawie całą naszą powagą i usilnością, jako tego żądają po nas niezrównane zasługi króla angielskiego około kościoła i religii, tudzież owe niemniej wielkie zasługi, jakie około obojga położył nieśmiertelnej pamięci król Jan III, dziad W. Książęcej Mości”. – Dopiero tak rozstrzygający głos uchylił wątpliwości rodziców. Przystali oboje na projekt ucieczki córki do Włoch. Siedemnastoletnia heroina tej niebezpiecznej przygody, gotowa poświęcić wszystko dla swoich ślubów, pragnęła jak najspieszniej ulecieć z więzów. Nim jednak przyszło do czynu, zdarzył się niespodziewanie wypadek, który ofierze Klementyny jeszcze nierównie większą nadać miał wartość.

W czasie jej siedmiomiesięcznego więzienia zanosło się na wojnę między Hiszpanią a Anglią. Każde przeciwne Anglii mocarstwo starało się o zawiązanie stosunków z Pretendentem. Hiszpania oświadczyła przed całą Europą zamiysł przywrócenia go na tron przodków. W tym celu, wśród najskrzętniejszych zabiegów o uwolnienie księżniczki, zaproszony został Stuart na dwór madrycki. Czekąło go tam nadzwyczajnie świetne przyjęcie, czekała go korona. Młody Jakób nie mógł nie korzystać z pomyślnego zbiegu okoliczności,



którym lada zwłoka groziła zgubą. Wszakże niezwłoczne udanie się z Włoch do Hiszpanii oddalało go od kochanki i to właśnie w tej chwili, kiedy ona z narażeniem życia i czci spieszyła do jego boku. W tak trudnym położeniu tylko wspaniałomyślna wyrozumiałość ze strony księżniczki mogła ocalić sprawę tronu i serca. Nie wiedząc, czy Klementyna uniesie się temu uczuciem, przebywał ulubieniec najboleśniejszą walkę między obowiązkami polityki a szczerym życzeniem serca. Maluje się ona w niespokojności, z jaką Stuart w długim, nieśmiałym liście zapowiada księżniczce (7 lutego 1719) swój wyjazd do Hiszpanii. „Jakże smutną i okropną dla mnie wiadomość” – opiewa początek listu – „muszę Ci donieść, moja najdroższa Klementyno! I w jakież sposób potrafię oznajmić Ci, iż w tej właśnie chwili, kiedy Twój ojciec bezprzykładnie szlachetnym postępowaniem daje mi najwyższy dowód heroicznej przyjaźni i wytrwałości – kiedy Ty pełną trudów i niebezpieczeństw ucieczką chciałaś dopełnić miary swoich łask dla mnie – kiedy stałość twoja miała zajaśnieć tak wielkim blaskiem i objawić się w tak czuły i zniewalający mię sposób – że w tejże właśnie chwili opuszczam Cię niejako, porzucam Cię na pozór, aby się w inny prawie świat udać. Oto nowina, której Ci mam udzielić. Zbierz, błagam Cię, całą odwagę swoją, i słuchaj mię z cierpliwością. Nie chcę tu rozwodzić się w rozumowaniach politycznych. Jakoż uwierzysz mi (jestem pewien) na słowo, gdy Ci powiem, iż zostaję pod władzą tak przemocnej i nagłej konieczności, że nie ulec jej, byłoby rzec się rozumowi. Miłość moja dla Ciebie nie zna granic... Ale jakkolwiek Cię kocham, wolałbym stracić Ciebie, niż stać się niegodnym serca Twojego, nie spiesząc śmiało na stanowisko, które mnie wzywa. – Z takim to uczuciem poddaję się surowym wymaganiom wypadku, który ma wszelkie cechy romansu, wyjąwszy swoją wielką rzeczywistość...”

Nie mogąc powierzać listowi bliższego wyjaśnienia powodów tak nagłej podróży do Hiszpanii, rozpisuje się Jakób następnie o dalszych szczegółach spodziewanej ucieczki oblubienicy do Włoch. Celem jej podróży ma być Rzym. U granic państwa kościelnego spotkają pan Marray, ów pierwszy poseł swadziebny do Oławy, mający upoważnienie zaślubić Klementynę w imieniu Jakóba Stuarta. Wszelkie warunki tej prokuracji służą do zapewnienia bezpieczeństwa, przyszłości i posagu księżniczki. Sporządzony na jej korzyść testament przyszłego małżonka ma zastąpić przynależną z jego strony oprawę wdowią. Jako obrączkę ślubną pozostawia narzeczony księżniczce pierścień, jakiego niegdyś przy podobnymże akcie używał ojciec Jakóba, król Jakób II. Przybywszy do Rzymu obierze sobie księżniczka mieszkanie albo w pałacu swego małżonka, albo w którymkolwiek klasztorze, jako miejscu wolnym od wielu niedogodności ceremonialnych. Do usług swoich znajdzie księżniczka w Rzymie kilka znakomitych pań angielskich, między tymi księżnę de Mar,

małżonkę jednego z głównych przywódców sprawy Jakóba, hrabinę de Nithsdail i panią de Hay. Panowie Murray i Wogan mają czuwać nad jej ucieczką i dalszym pobytem we Włoszech. W razie niepowiedzenia się ucieczki, sama tylko przyszłość okaże, co dalej czynić wypadnie. – „Zdaje mi się” – kończy Jakób – „że nie mam nic więcej dodać do tego przydługiego już listu, jak tylko, pożegnać Cię, droga Klementyno! z całą miłością, jaką czuję dla Ciebie, i pozostawić Cię w rękę tej Opatrzności, której i ja z mojej strony powierzam się z ufnością. Twoja niewinność i cnoty Twoje (mam tę pewną nadzieję) otoczą mnie błogosławieństwem niebios, na które ja sam nie zasłużyłem. Gdziekolwiek będę, jestem Twoim na wieki. Stałość Twoja będzie moją pociechą; niechże moja wierność będzie wzajem podporą Tobie. Byłem Ciebie posiadał: dość dla mnie szczęścia. Bez Ciebie wielkość, nawet korona byłaby mi ciężarem. Obowiązek nakazuje mi ubiegać się za niemi; w istocie jednakże mają one tylko tyle dla mnie powabu, o ile je z Tobą podzielać mogę. Przebaczone temu wylaniu serca, które nie oddycha tylko Tobą, nie kocha jak tylko Ciebie, i tylko u Twoich kolan spoczynek znajdzie – co niebawem (tuszę) nastąpi. Odjeżdżam za chwilę, i żegnając Cię jeszcze raz, błagam, zaklinam Cię: spiesz czempredzej do Rzymu i ufaj mojej miłości.”

Potrzeba było zaiste tak czułych słów, aby pokrzepić serce księżniczki. Obarczyły ją bowiem młodą, prawie jeszcze dziecinną, ciężkie smutki i przeciwności, zdolne dojrzałą rozbroić duszę. – Coraz ściślejszy związek z świetnym, ale nieszczęśliwym imieniem doprowadził ostatecznie do potrzeby narażenia się na dwuznaczną, trudną przygodę. W chwili przygotowań do tej ofiary przedmiot, dla którego ponieść ją chciała księżniczka, zniknął jej z oczu. Wszystkie niebezpieczeństwa tej ucieczki, podjętej przez 17-letnią dziewczynę, samą jedną wśród obcych ludzi, wystawioną na długie trudy, na możliwość śmiertelnych zniewag, nie miały nawet tej jedynej nagrody, iżby ją na koniec zaprowadziły w dom oblubieńca. Ustały nawet listy od niego, ustały wieści o nim. Wszelkie widoki osobistego z nim połączenia rozplywały się w cale mglistą niepewność. Owszem, nie obeszło się bez złośliwych pogłosek, utrzymujących za rzecz pewną, iż zaręczyny z Stuartem w nic się obróca, ile że narzeczony przed swoim wyjazdem do Hiszpanii rozkochał się w Bolonii, w córce możnego domu Caprara, i miał już nawet układać się o jej rękę. Ledwie wyraźnie w tej mierze zaprzeczenie, uczynione przez oblubieńca w jednym z poprzednich listów do ojca narzeczonej, niejako sprawiło ulgę. I trwał ten smutny stan niepewności przez długie trzy miesiące. Żaden przecież z tych wielu dni nie zachwiał stałości Klementyny. Codziennie oczekiwano przybycia tajnych wysłańców Jakóbowych, mających uwięzić skrycie więźnia pięknego. Różne przeszkody nie dozwoliły im zgłosić się prędzej w Insbruku. Musimy zapoznać się z nimi bliżej.

Jeszcze przed półroczem zlecił był Pretendent (jak wiemy) swojemu towarzysowi

wygnania, p. Wogan, sprawę uwolnienia księżniczki. Ówczesny opór rodziców nie odjął nadziei dopełnienia później życzeń królewskich. Tymczasem zwiedzał Wogan z kolei różne dwory książęce, szukając pomocników do swego trudnego a zwłaszcza podręcznym sprawcom srodze niebezpiecznego dzieła. Znalazł on ich wreszcie w Alzacji, w pobliskim Strasburgowi miasteczku Szelstadt, pomiędzy oficerami francuskiego pułku Dillon rodowitymi Irlandczykami. Byli to kapitanowie Toul, Misset i major Gaydon, autor pamiętnika o ucieczce księżniczki, z którego głównie wiadomości czerpiemy. Ponieważ ułożony przez nich plan przedsięwzięcia wymagał spółnictwa dwóch kobiet, więc wciągnięto w spisek małżonkę jednego z kapitanów, panią Misset, która przybrała do pomocy swą pokojową. Wszyscy byli całą duszą oddani sprawie Stuartów, a myśl, iż zrzeczością i odwagą swoją przysłużą się swemu prawemu monarsze, przyczynią się do ustalenia prawej dynastii, do przyszłego dobra ojczyzny i religii nadawała całemu dziełu nieskończenie wielkiej w ich oczach wagi. Dobrze podówczas porozumienie Anglii z Francją i państwami Rzeszy niemieckiej nakazywało wszędzie największą tajemnicę. Przed wszystkim chodziło o przyzwolenie rodziców. Skoro tego w opisany powyżej sposób dopięto, zażądali powiernicy Stuartowscy od ojca narzeczonej w Oławie naprzód formalnego upoważnienia i pełnomocnictwa do uwiezienia córki, a zarazem listów do księżniczki i matki, zalecających posłuszeństwo radom głównego kierownika projektu, p. Wogan. Po nadejściu żądanych pism z Oławy wyprawił je Wogan do Insbruku, wraz z zapytaniem, kiedy dzieło wykonane być ma. Po czym całe grono sprzysięgłe wyruszyło (6. kwietnia) różnymi drogami i pod różnymi pozory z Szelstadu do Strasburga, gdzie miano czekać odpowiedzi z Insbruka. Jakoż po dniach dziesięciu przybył w istocie list od p. de Chateaudoux, poufnika księżniczek w Insbruku, wzywający jak najrychlej na stanowisko. Sprawiwszy sobie tedy mocny berliński powóz, zaopatrzywszy go w wszelkie przybory stosowne, wybrano się ostatecznie w podróż ku górą tyrolskim. Dla ostrożności rozdzielili się wszyscy sześcioro w kilka pomniejszych grup. Kapitan Misset jechał zwyczajnie przodem w towarzystwie kamerdynera Stuartowskiego imieniem Mitchel, obaj za kupców włoskich przebrani. Major Gaydon uchodził w paszporcie za hrabiego de Cernesse, pani Misset za jego żonę, pokojowa za jej siostrę, a kapitan Toul towarzyszył hrabiemu jako rządca dóbr jego. Wogan, mogący najprędzej obudzić podejrzenie, podróżował pospolicie z osobna. Wybierano zwykle różne popasy i noclegi, a zjechawszy się przypadkowo na jednej stacyi, udawano, że się nie znają. W ten sposób przybyli wszyscy po tygodniowej podróży w granice tyrolskie, do pierwszego prowincji tej miasteczka, Nazaretu. Kapitan Misset i Mitchel pospieszyli przodem do pobliskiego Insbruku, uwiadomić tamże p. Chateaudoux o przybyciu orszaku. Co

uskuteczniejszy, wyjechali obaj o trzy dalsze stacje pocztowe do wioski Brenner, leżącej na szczycie góry tegoż nazwiska, i zatrzymali się tam pod pozorem słabości, aż do spodziewanego przybycia reszty towarzystwa z księżniczką. Tymczasem główny korpus przysięgły w Nazarecie powziął wiadomość z Insbruku, iż księżna-matka pragnie jeszcze odroczenia dzieła o jeden dzień, tj. do czwartku 27. kwietnia. Było to bardzo zrozumiałym życzeniem serca macierzyńskiego, pragnącego bodaj kilku godzin opóźnić ostatnie pożegnanie się z córką, przeznaczoną do przebycia ciężkiej, może śmiertelnej drogi. Mimo coraz groźniejszego w takim pobliżu niebezpieczeństwa, dozwolono matce tej ostatniej pociechy, a wynikłej stąd zwłoki użyto do oswojenia pokojowej pani Misset, Joanny, z rolą, jaką miała odegrać. I oto, podczas gdy w więziennym domu insbruckim srodze stroskana matka, nie mogąc nawet okazać żalu po sobie, prawdopodobnie na zawsze rozstawała się z córką – w gospodzie w Nazarecie przyjaciele księżniczki musieli w zabawny sposób łudzić wiejską dziewczynę, mającą nieświadomie dopomóc do jej ucieczki. Aż dotąd wiedziała Joanna tylko tyle, iż dla pewnych, nie znanych jej bliżej przyczyn, ma przedstawić siostrę swej pani. Czyniła ona to nie bez ochoty, z wyjątkiem chwilowych niekiedy narowów, które natychmiast ustępowały, skoro ją rozśmieszono. Teraz jednakże, wymagając od niej należytego znalezienia się w chwili stanowczej, wypadało koniecznie oświecić ją pozornie względem celu tej maskarady. Udano więc przed nią, iż chodzi tu o wykradzenie młodzietkiej a niezmiernie bogatej panny z rąk starego, srogiego wuja, zmuszającego ją do oddania ręki innemu, sześćdziesięcioletniemu, szkaradnemu starcowi. Panna przeciwnie kocha się w swoim dawnym znajomym, kapitanie Toul, i za tajnym przyzwoleniem ciotki, u której mieszka, postanowiła uciec z nim. Nie może atoli dokonać tego inaczej, jak tylko zostawiając w nocy kogoś innego, tj. właśnie Joannę na swoim miejscu. Za to przyobiecano jej zabezpieczenie losu na całe życie, przedstawiano biednej dziewczynie w tak jaskrawych kolorach niebezpieczeństwo wszystkich jej towarzyszków, zagrożonych utratą gardła w razie rozbicia się projektu, iż poczciwa Flamandka na wszystko zezwoliła. Zaczyn ubrano ją natychmiast w bogatą adamaszkową suknię, pani Misset zaczesła ją z pańska, a Wogan dał jej otwarty list pod adresem pana de Chateaudoux, w którym była prośba o zajęcie się losem Joanny i nadesłanie jej w swoim czasie za panną uwieczoną.

Z tymże samym poufnikiem księżniczek w Insbruku porozumiewano się ostatecznie z Nazaretu względem godziny i miejsca, w których orszak poufny stawić się miał na placu. Zdążył on do tegoż miasta, rozciągającego się po obydwóch wybrzeżach Inu, do lewej strony rzeki. Więzienie księżniczek leżało o dwa tysiące kroków od Inu, po prawej stronie. Pośrednicząca pomiędzy nimi okolica mostu nad Inem miała być głównym stanowiskiem

sprzymierzeńców. Ósma godzina wieczorem była oznaczonym czasem przybycia. Wysłany naprzód Toul wynalazł w pobliżu mostu cichą, ustronną gospodę „Pod Barankiem” i w jej bramie wyglądał znanej berlinki. Na moście miał czekać służący p. de Chateaudoux, aby natychmiast uwiadomić go o przyjeździe. Około ósmej godziny nadjechała w istocie berlinka z pp. Wogan i Gaydon i obudwoma damami. Na widok Toula kazano pocztylionowi zajeżdżać „Pod Baranka”. Pani Misset i jej siostra mniemana wysiadły szybko z powozu i wbiegły do wskazanego sobie pokoju na pierwszym piętrze. – Joanna pod pozorem starszego bólu zębów rzuciła się zaraz na łóżko, zasunęła grubą welon na twarz i oświadczyła, że nie chce ani jeść ani pić. Tymczasem mężczyźni krzatali się na próżno około mostu, oglądając się za panem Chateaudoux. Jego służący nie stanął w swoim czasie na zwiadach, przez co wiadomość o przybyciu orszaku doszła do więzienia księżniczek o dwie godziny później niż należało. Dopiero około jedenastej godziny w nocy pojawił się p. Chateaudoux. Zetknawszy się z nim, usłyszeli sprzymierzeńcy z nieprzyjemnością, iż księżna-matka prosi jeszcze o odwołanie projektu o 4 godziny z rana. Niepodobna było zgodzić się na to. Musiał więc p. Chateaudoux przystać w imieniu księżny na natychmiastową ucieczkę. W tym celu sprowadzono biedną Joannę na most i podczas gdy mniemani hrabstwo de Cemesse pozostali w stacji na górze, gdy Toul pilnował na dole, ażeby bramy oberży nie zamykano, Wogan z p. Chateaudoux i Joanną prowadzoną przez służącego udał się ku więzieniu księżniczek.

Było już blisko północy. Po cichym wiosennym wieczorze zaczął nadzwyczajnie gęsty śnieg padać. W pół drogi do mieszkania księżniczek, w wąskim poprzecznym zaułku, kazał p. Chateaudoux zatrzymać się. Nie mając odwagi widzieć się w tej chwili z samą księżniczką, napisał do niej bilet, oznajmiający w dwóch słowach, iż teraz albo nigdy pora uciekać. Gdy drżący z wzruszenia Francuz wyprawił służącego z biletem, Wogan miał nowy kłopot z Joanną. Zastłyszawszy ona przypadkiem słowo „księżniczka”, które ją niepokojem przejęło. „Jużci nie może być” – ozwała się nieboga do towarzysza – „aby księżniczki dla p. Toul wykładać się pozwalały. Musi więc zachodzić w tem jakiś sekret”. Zafrasowany Wogan wsunął jej czym prędzej znaczny podarek w rękę, który na szczęście wcale inny kierunek jej myślom nadał. Odtąd bowiem troszczyła się tylko pytaniem: co ma sobie kupić za te pieniądze? Musiał i Wogan wesprzeć ją swoją radą w tej wątpliwości. Tymczasem wrócił służący z odpowiedzią księżniczki, oświadczającej gotowość swoją. Wziął tedy Francuz Joannę spiesznie pod ramię i pożegnał Wogana prośbą, aby tu czekał księżniczki. Niebawem zniknęli wszystko troje w kierunku mieszkania więzionego, a Wogan pozostał sam w uliczce.

Mimo burzy i śniegu, świeciła jasno gwiazda księżniczki. Samo niebo ułatwiało ucieczkę. Nagła zawierucha spadła zasłoną na oczy przeciwników. Czuwająca przed domem

więziennym straż, która nigdy przedtem nie uchylała się z bramy, teraz w dogodniejsze skryła się miejsce. W taką burzę i o tak późnej porze wszelka ostrożność zdawała się zbytęzną. Nadto, miano właśnie zamknąć bramę na noc. Postrzegł to był służyący pana Chateaudoux, wyprawiony z owym biletem do księżniczki i uwiadomił ją o tem. Zdecydowana do korzystania z chwili księżniczka, gotowa była użyć innego środka ucieczki, gdyby tymczasem bramę zawarto. Przedsięwzięła w takim razie uciec ogrodem, przez mur, za pomocą drabinki. Chcąc się jednak sama przekonać czy wyjście główne jeszcze wolne lub nie, zbiegła na schody. Postrzegłszy stamtąd pana Chateaudoux z Joanną w otwartej bramie, cofnęła się czym prędzej. Pozostawało tylko pożegnać się jeszcze z matką. Rozstanie to nie mogło trwać nad chwilę. Jedno spieszne błogosławieństwo musiało zastąpić wszelkie łzy, wszelkie słowa. W oka mgnieniu wróciła księżniczka na schody do czekającej już tam Joanny. Stłumiona boleść rozstania malowała się tym wymowniej na obliczu pięknej uciekającej. Widok ten rozrzewnił poczciwą Joannę. Przywdziewając księżniczkę swoją zroszoną śniegiem odzieżą, ucałowała ją serdecznie, prosząc aby się nie martwiła. „Pojedziesz” – rzekła litośnie – z „bardzo grzecznymi panami i zacną panią, którzy nie dadzą ci krzywdy zrobić.” – Po tych słowach została Francuzka zamiast księżniczki wprowadzoną na pokoje więzienne, a przebrana córka księżęca była już za bramą na ulicy.

Za chwilę, o pierwszej godzinie po północy, wśród zawieruchy śnieżnej, nadeszła ku Woganowi szybkim krokiem jakaś postać kobieca. Pod jej popielatym płaszczem, zapuszczonym welonem, strojem Joanny mogła dla niego kryć się zarówno księżniczka ocalona, jako też w razie spóźnienia projektu, powracająca Joanna. Z niewypowiedzianą uciechą poznał Wogan księżniczkę. Tajemniczość chwili wzbraniała wszelkich oznak radości, wszelkiej rozmowy. W milczeniu pospieszono dalej, ku oberży za mostem. Ciężkie, przemokłe od ciągłego śniegu odzienie, również ciężki, bo pięciu do sześciu niepróżnymi kieszeniami zaopatrzony fartuszek podróżny, wreszcie gruba warstwa śniegu pod stopami, utrudniały krok każdy. Usłużność, przewodnika Wogana, który czy to skutkiem krótkiego wzroku, czy zbytęnego zaprzątania umysłu, błyszczące plamy roztopionego śniegu brał za białe kamienie i ustawicznie w wodę naprowadzał księżniczkę, nie wielce także ułatwiała przeprawę. Osiągnięto przecież szczęśliwie most przy oberży. Tam musiał Wogan opuścić księżniczkę na krótką chwilę, aby przodem do oberży pobiegłszy, zapewnić się, iż wnijsie do niej jest wolne. „I to po raz drugi” – zdumiewa się pamiętnikarz – „widzimy księżniczkę, samą wśród nocy na ulicy, znużoną przykrym chłodem, wystawioną na całą okropność burzy zimowej!” Na szczęście wrócił wkrótce przewodnik i wprowadził ją bezpiecznie pod dach oberży, do ubogiej stacyjki na pierwszym piętrze, gdzie po spieszym zdjęciu z niej

ciężkiego, przemokłego odzienia całe wzruszone towarzystwo, w milczącym uniesieniu radości padło na kolana przed swoją młodocianą królową...

Za kilka minut, około drugiej godziny po północy, zabrzmiała trąbka pocztarska i pędziła już z miasta gościńcem ku Weronie, uprzężona czwórką berlinką, a w niej: pani Misset z księżniczką w głębi, panowie Gaydon i Wogan na przedzie, szczęśliwy zaś (zdaniem Joanny) kochanek synowicy srogiego wuja, kapitan Toul, z pocztylionem na koźle. Za miastem przypomniano sobie toaletę księżniczki z klejnotami, nadesłaną za nią do oberży przez księżniczkę-matkę a w pośpiechu wyjazdu pozostawioną gdzieś na uboczu – Toul skoczył czym prędzej na koń, wrócił cwałem do miasta i znalazłszy toaletę na swoim miejscu, przywiózł ją wkrótce nazad. Ten traf szczęśliwy wzięto za pomyślną wróżbę dalszej wyprawy. Na pierwszej stacji przyprężono nową parę koni, a nad rankiem stanęła berlinka o sześć mil od Insbruku u szczytu góry Brenner, gdzie od dni kilku, pod pozorem słabości czekali Misset i Mitchel. Tam przy zmianie koni pocztowych, wytężone dotąd siły księżniczki zawiodły ją na chwilę. Chcąc cokolwiek wypocząć, zemdląła na ręku pani Misset. „Wszelkie okropności śmierci – opowiada autor *Pamiętnika* – „przeszyły nas na ten widok”. Za użyciem jednak kropel trzeźwiących ocuciła się wnet księżniczka, aby natychmiast dalszą rozkazać podróż.

Był to w całej podróży jedyny znak słabości ze strony Klementyny. Usprawiedliwiały go dostatecznie wrażenia nocy minionej, zupełny brak snu, trud ciągłej jazdy, na koniec odmówienie sobie wszelkiego z rana posiłku, jako w piątek dzień postu. Zresztą okazała się nasza siedemnastoletnia heroina godną we wszystkim bohaterskiego imienia, jakie nosiła. Nie zatrwożyły ją na chwilę samotność, burza nocna, możność popadnięcia w ręce surowych prześladowców. Żaden przypadek chwilowy, jak np. owa strata szkatułki z klejnotami, nader przykre później uszkodzenie powozu, nie zachwiał jej spokojności. Niebezpieczna gdzieś jazda wzdłuż przepaścistych brzegów Adygi, nabawiająca śmiertelnej trwogi panią Misset, służyła księżniczce z tegoż powodu za niejaką rozrywkę, rozweselającą ją widokiem śmiesznych symptomatów przestachu towarzyszeki – pobudzającą ją później do niewinnych z niej żartów. Przyszedszy teraz z omdlenia swego do siebie, wszczęła księżniczka krótką rozmowę z swoimi milczącymi dotychczas wybawcami. Ośmieleni jej uprzejmością zdumieni rzadką w tak dziecinnym wieku determinacją, nie mogli oni wstrzymać się od wynurzenia swego podziwu. „Co W. K. Mość uczyniłaś dzisiaj dla króla, pana naszego” – rzecze major Gaydon w imieniu reszty – „zapewnia jej nieśmiertelną chwałę w rocznikach świata. Przed wielką duszą W. Król. Mości upadną w proch wszelkie zawady i przeciwności, jakie dotąd stały w drodze królowi, panu naszemu. Wasza król. Mość będziez

zbawieniem i rozkoszą dni jego.”

Jakoż wysilali wierni słudzy domu Stuartów wszelką swoją gorliwość, aby uwieść nieuszkodzenie tak drogi skarb. Właściwa owemu czasowi przesada ceremonjalności i dworactwa posuwała tę ich niezmierną troskliwość aż do śmieszności. Połączone z nią zbyteczne przejęcie się wielkością dzieła swojego przyniosło znaczny uszczerbek męskości i przytomności samychże sprawców. Ów Francuz Chateaudoux nie mógł dla zbyt wielkiego wzruszenia znieść w stanowczej chwili widoku uciekającej księżniczki Irlandczykowi Woganowi, z podobnej przyczyny, błyszcząca woda kałuży wydawała się raz po raz białymi kamieniami. W nocy, gdy księżniczka i pani Misset zadrzemały w powozie, każde potrącenie się ramion porażało towarzyszków przestraszonym, aby nie ucierpiała na tym całość „trzech zjednoczonych królestw.” – „Mieć oś złamaną i być odpowiedzialnym za bezpieczeństwo królowy, której losy obchodzą całe chrześcijaństwo!” – woła major Gaydon w swym Pamiętniku. – Tymci nadobnie odbijała od takich uniesień śmiałość księżniczki – śmiałość żywego, swobodnego, wkrótce nawet wesoło igrającego dziecka, jednej naiwnej duszy w tym towarzystwie.

Na szczęście ochraniała ją opatrność od zbyt ciężkich doświadczeń. Jak samo wyjście z murów więziennych, tak i wszystkie dalsze przygody tej podróży odpowiadały swą łagodnością młodocianemu wiekowi bohaterki. Dzięki łaskawej opiece niebios, do których tyle modłów wznosiło się z różnych stron za księżniczką, kilkudniowa ucieczka, grożąca w zamiśle tysiącami niebezpieczeństw, stała się w rzeczywistości zabawą, wcale nieszkodliwymi przygodami urozmaiconą przejazdka. Największą niedogodność sprawiła jednocześnie podróż margrabiny Badeńskiej, która tym samym gościńcem, tylko o trzy stacje pocztowe przodem, jechała dwornie do Włoch. Z tej przyczyny dostawały się naszym podróżnym na każdej stacji pomęczone już konie, a często nie można było żadnych otrzymać. Z tym wszystkim ubieżono do 16 mil dnia pierwszego. Nazajutrz rano dwaj z towarzyszków, Toul i Misset, pozostali umyślnie z tyłu w miasteczku Welsch Milik, przed Trientem, aby pilnie mieć oko, czy nie będzie przejeżdżał z Insbruku jakiś kurier, który na wypadek przedwczesnego tamże wykrycia się ucieczki mógłby wieść rozkaz powstrzymania księżniczki w drodze. W takim razie miała pozostawiona czata przeszkodzić kurierowi w dalszej pogoni. I w istocie, podczas gdy drużyna uciekająca spieszyła po południu z Trientu do Roveredo, zajechał do gospody w Welsch Milik przejeżdżający z Insbruku goniec z depezbami do komendanta Trientu. Lubo nie znając właściwej treści depezb, wszczęli Toul i Misset natychmiast pogadankę z kurierem, który srodze znużony, rad był chwilce spoczynku. Od słów przyszło do szklanek, a gdy po kilku butelkach kurier ozwał się z prośbą, aby mu



wody dolewano do wina, dolewano mu wódki natomiast. Wkrótce usnął na placu, a czuwającym nad nim przyjaciołom pozostała tylko troska zbyt dużą, aby się nie obudził za wcześnie.

Tymczasem księżniczka ujeżdżała wieczorem z Roveredo ku Ali. Bawiono ją żartobliwą rozmową o zaletach berlinki, która całą przestrzeń z Strasburga aż potąd bez najmniejszego przebyła szwanku. Wtem łamie się jedna część osi. Musiano wysiąść. Wogan z Mitchelem zajęli się naprawą. Gaydon i pani Misset uprowadzili księżniczkę na łąkę, ku jakiejś wiosce. Chęć napicia się mleka zwabiła ją do sioła. Dzwoniono tam właśnie na modlitwę wieczorną. Nie było mleka, lecz natomiast weszła księżniczka do kościółka wiejskiego i padła na kolana. Po skończonej modlitwie przybył Wogan oznajmić, iż koło naprawione.

Nadwężenie berlinki i pomęczone konie nie dozwalały pospieszać. Na szczęście zbliżano się już do ostatniej stacji przed granicą rzeczypospolitej weneckiej, kresem wszelkiej obawy. „Wtedy” – pisze major Gaydon w swym *Pamiętniku* – „o jedenastej godzinie w nocy wydarzył się przypadek, który miał tem głośniej rozślawić imię księżniczki w dziejach.” Złamała się druga część osi. Powóz wywrócił się. Księżniczka spała tak mocno, że nie czuła wcale wywrotu. Wogan wziął ją na ręce i ustąpił z nią na bok. Widząc jakiś biały kamień przed sobą, postawił na nim księżniczkę. Dopiero nagłe wzdrygnięcie się śpiącej oświeciło go, że ją znowu w wodę wprowadził. „Gdzie mama?” – były pierwsze słowa księżniczki, wymówione jeszcze pół we śnie. Po zupełnym ocuceniu się wypadło dojeść piechotą do stacji. Kosztowało to pół godziny przykrego chodu, nocą, w wilgoci. „Ale podczas gdy my” – pisze Gaydon – „oddawaliśmy się smutkowi, królowa żartowała sobie z tych fraszek”.

W miasteczku Ala, dokąd po północy nadciągnął powóz złamany, okazało się, iż naprawa potrwa do rana. Będąc o półtorej mili od granicy, nie chciano narażać się na taką zwłokę. Groziła ona tym prawdopodobniejszym niebezpieczeństwem, iż Toul i Misset, czuwający jeszcze nad swoim śpiącym kurierem, nie połączyli się dotychczas z towarzystwem, a zatem musieli zapewne spotkać się z jakąś poszlaką. Najęto więc prosty wózek – najlepszy, jaki można było dostać w miasteczku – wyścielono go poduszkami berlinki, i wsadzono nań obie damy. Panowie Gaydon i Wogan szli pieszo obok. Mitchel pozostał przy berlince, która nazajutrz miała przybyć za towarzystwem. Ponowiona przedtem przechadzka, w połączeniu z przeszło dwudniowym unuciem, złożyła księżniczkę na nowo snem głębokim. Obudził ją dopiero głośny okrzyk radości, gdy wózek o pół do czwartej rano przejechał linię graniczną.

O godzinie piątej stanęła księżniczka w pierwszym miasteczku weneckim, Peri. Powitało ją tam ranne dzwonienie na mszę. Usłyszawszy je, porzuciła drużyna wędrowna swoją tyrolską dorożkę na środku miasta i udała się do kościoła. Po złożeniu gorących dzięków

niebiosom znaleziono oberżę i pozwolono sobie spoczynku.

W ciągu dnia połączyli się z towarzystwem Mitchel z naprawioną berlinką i Toul z Missotem. Była to trzecia doba od ucieczki z Insbruku. Dwa dalsze dni zaprowadziły wszystkich spokojną, lecz zawsze jeszcze pod przybranym nazwiskiem odbywaną podróżą, w granicę państwa Kościelnego, do Bolonii, najbliższego kresu podróży. Po narzeczonym którego księżniczka nie miała zastać we Włoszech, najciekawszym dla niej widokiem w Bolonii był widok owej córki domu Caprara, którą złośliwe doniesienia mieniły jej rywalką. Przyjąwszy powitalne odwiedziny kardynała legata bolońskiego, zwiedziwszy *incognito* główne kościoły i klasztory, kazała księżniczka zaprowadzić się do pałacu Caprara. Marszałek domu okazywał z osobliwszem upodobaniem liczne znaki zwyciężkie, odniesione przez jednego z przodków rodziny w wojnach z Turkami. Księżniczka chciała przede wszystkim widzieć portret panny Caprara. Żywy rumieniec oblał jej lica, gdy nań okiem rzuciła. Towarzysze księżniczki spojrzeli po sobie z zadziwieniem. Nikt z nich nie wiedział, co to znaczy.

Dopiero po przebyciu granicy weneckiej przez księżniczkę rozgłosiła się w Insbruku jej ucieczka. Ów kurier w Welsch Milik wcale inną wiadomość utopił w rozpuszczanym gorzałką winie. Przez całe dwie pierwsze doby po ujechaniu księżniczki utrzymywała księżna matka (z pomocą Joanny) wszystkich w mniemaniu, iż córka – chora. Trzeciego dnia oznajmiono, że księżniczka dla dopełnienia ślubów kościelnych oddaliła się potajemnie do swego męża. Wynikłe stąd dla rodziców przykrości zmusiły królewicza Jakóba do opuszczenia Oławy. Udał się wkrótce do Polski i zamieszkał długi czas w Częstochowie.

Wtedy księżniczka Klementyna żyła już z mężem w Rzymie. W kilka dni po jej przybyciu do Bolonii zjechał tam z Rzymu pan Murray przeznaczony do zaślubienia księżniczki w imieniu króla. Nastąpiło to dnia 9 maja, w dziesięć dni po opuszczeniu Insbruku. – Z przyczyny ciągłego *incognito*, które księżniczka mimo nader gościnną uprzejmość władz papieskich, mianowicie bolońskiego kardynała legata Origo, najściślej zachowywała, odbył się ten obrzęd w wszelkiej cichości. O siódmej godzinie z rana udała się oblubienica w skromnej białej sukni, w towarzystwie pani Misset, do najbliższego kościoła i rzuciła się tam do stóp konfesjonału. Za powrotem do domu weszła na salę, gdzie całe zgromadzenie czekało z uszanowaniem. Byli tam p. Murray z umyślnie na to przywiezionym kapłanem angielskim, niejaki margrabia Monti w imieniu ojca księżniczki. Wogan w imieniu króla, wreszcie całe grono podróżne, któremu łaskawie dozwolona obecność przy tym akcie stała za najmniejszą nagrodę trudów nieprzebytych. Po odczytaniu prokuracji i zezwoleniu w imieniu pana młodego, zapytał kapłan Klementynę jeśli także zezwala? „Mogę upewnić” – pisze Gaydou –

„że Gracje przez usta jej przemówiły, gdy te słowa wyrzekła”. – Błogosławieństwo kapłańskie dopełniło ceremonii.

W tydzień później stanęła księżniczka w Rzymie, w klasztorze Urszulanek, swoim tymczasowym mieszkaniu. Powitano ją nad Tyberą medalem, wybitnym na pamiątkę szczęśliwego oswobodzenia. Po jednej stronie umieszczone było popiersie księżniczki, napisem: *Clementina, Magne Britanniae, Franciae, Scotiae et Hiberniae Regina*. Po drugiej ozdobny rydwan, uprzężony czterą bystrymi rumakami, pod wodzą Klementyny, w pędzie ku widniejącemu z dala Miastu Wiecznemu. U góry napis: *Fortunam causamque sequor*. (Spieszę za szczęściem i słusnością). U spodu: *Deceptis custodibus*. A. 1719.) Medal ten był tylko początkiem zaszczytów, jakie księżniczkę tak ze strony papieża, jako też całego ludu rzymskiego obsypały niebawem w stolicy apostolskiej. Łaskawe posłuchanie o Ojca św., odwiedziny najdosłojniejszych osób, pielgrzymki po miejscach świętych skróciły oczekiwania króla z Hiszpanii. Napłynął on z końcem sierpnia, na dwóch statkach hiszpańskich, które zawinęły w Livorno. Księżniczka wyjechała naprzeciw niemu do Monte Fiascone. Biskup djecezjalny połączył ich tam nowym w imieniu papieża błogosławieństwem. Pod koniec października przybyli oboje małżonkowie do Rzymu i zajęli przygotowany sobie pałac na placu Sant' Apostoli.

W jego to murach zamknęły się odtąd dni Klementyny. Droga do Anglii na tron stawała się coraz wątpliwsza. Natomiast zwróciła Klementyna w inną stronę swe myśli. Córka pobożnego ojca, który codziennie po kilka mszy św. słuchał, któremu klasztor na Jasnej Górze Częstochowskiej za najmiłszy służył przytułek, oddała się młoda królowa wyłącznie życiu bogobojnemu. Matka dwóch synów, z których jeden później przez kilkanaście miesięcy miał z orężem w ręku panować w Szkocji, a zatrzeć całą Wielką Brytanią, mniemała ona zupełnym zaprzeczeniem się wszelkiej wielkości światowej, wszelkich rozkoszy ziemskich, uskarbić je u nieba dla swoich dzieci. Stąd ciągała przez dalsze lata samotność, ciągłe modlitwy i posty, kilkakrotna co tygodnia komunია św., coroczne na dłuższy czas rekolekcje klasztorne.

Zjednała ona sobie tym najwyższą cześć dworu apostolskiego, powszechne uwielbienie ludu. – „To święta!” rozchodziło się daleką aż do Polski pogłoską.

Niebawem zabrzmiały te słowa nad jej grobem. Już kilka lat surowego skruszenia duchowego położył koniec żywotu. Umarła Klementyna dnia 18 stycznia roku 1735, przeżywszy lat 33 i 6 miesięcy. Niezmierna żałość ogarnęła całą stolicę. Przez resztę żałobnego tygodnia zamknięte były wszelkie widowiska publiczne, spoczywały wszelkie rozrywki, milczał Rzym cały. Dla tym większej okazałości pogrzebu zdjęto nieboszczce habit

dominikański, który sobie przywdziać kazała, a obleczono ją w szaty królewskie. W koronie, z berłem w ręku spoczęła na zawsze w podziemiach św. Piotra.

We dwa lata później (19 grudnia 1737) spoczął jej ojciec w Żółkwi. Jedenastą laty wcześniej (22 lipca 1726) poprzedził go tam do grobu średni z braci Konstanty. Wszyscy trzej zeszli bez potomka po mieczu. We trzy lata po zgonie królewicza Jakóba, ze śmiercią ostatniej z jego córek, Karoliny księżny de Bouilion, zmarłej w Żółkwi r. 1749, nie stało nawet żeńskich potomków. Nie było już nikogo z krwi króla Jana III, coby nosił imię Sobieskich. W przeciągu jednego wieku zajaśniał ten ród w oczach świata i zgasł. Wielcy dziadowie rozślawili go blaskiem oręża; pobożna wnuka przyozdobiła jego zachód aureolą świętości.

## WOJNA O CZEŚĆ KOBIETY

Rzeczywista postać dawno minionych zdarzeń a powszechna o nich pamięć w narodzie – jakże różne od siebie rzeczy! Najdokładniejsza historia podaje tylko niepodobny portret wypadku, a z tego fałszywego portretu zaledwie jeden rys drobny, często wcale zmyślony przydatek malarza, przechodził w wiedzę powszednią, staje jedynym wspomnieniem długiego pasma dziejów. Rzeczywistość przemówiła niegdyś długim szeregiem słów, stanowiącym pewną rozumną całość, a pamięć pospolita, jak echo w górach, chwytła przypadkowo jeden luźny dorywczy, najbliższy wyraz i od doliny do doliny, od pokolenia do pokolenia, powtarza go coraz dziwniej, niezrozumialej.

Takim echem brzmi np. po dziś dzień wiadomość o szumnym ugoszczeniu pięciu królów przez mieszczanina krakowskiego Wierzyńka. Bo jakżeby nie utkwiała w pamięci pospolitej sława szczęśliwego bogacza, który po 100,000 złotych mógł składać w darze królewskim biesiadnikom swojego stołu! Jeszcze i drugie słowo, słowo opowiadające nam, iż głośna uczta mieszczańska zdarzyła się podczas godów weselnych, odprawionych przez Kazimierza W. na cześć zaślubin wnuczki Elżbiety Pomorskiej z cesarzem Karolem IV, daje się jako tako dosłyszeć w tym echu Wierzyńkowym. Wszakże słowa trzeciego, oświecającego nas, co dało powód weselu cesarskiemu w Krakowie, nie doszukasz się ani w pamięci ludzkiej ani w ucześniejszych nawet księgach dzisiejszych: Dowiedzieć się o nim jedynie z starej kroniki Długoszowej i kilku dokumentów spólczesnych, potwierdzających prawdę Długosza. Opiewa to słowo w kształcie dziwnie zaokrąglonej powieści, jak o sławę królowej węgierskiej Elżbiety, siostry Kazimierza W., wszczęła się wielka wojna, zakończona właśnie ową swadźbą krakowską. Nie znamy wielu ustępów w historii średnich wieków, któreby ciekawiej od mniejszego charakteryzowały swoją epokę.

Każde pogranicze było w XIV wieku sceną ustawicznych burd i grabieży sąsiadów. Najeżdżali się podobnie i mieszkańcy kresów węgiersko-czeskich. Codziennie donoszono królowi węgierskiemu Ludwikowi o gwałtach Czechów i Morawców w przyległych ziemiach węgierskich, królowi czeskiemu i cesarzowi rzymskiemu Karolowi IV Luksemburczykowi o

rozbojach Węgrów we włościach morawskich. Obaj monarchowie sąsiedni, godni spółzawodnicy swego trzeciego sąsiada Kazimierza W. w Polsce, dbali wprawdzie surowo o spokój i bezpieczeństwo publiczne, lecz szlachta pograniczna trwała uporczywie w rycerskim obyczajach najazdów, miłszych raczej jako gra szermierki hazardowej niż jako źródło zysków.

W ostatnich czasach, około roku 1360, byli górą Morawcy, oskarżani w Węgrzech o tysięczne szkody gryniczne. Król Ludwik wyprawił posłów do cesarza Karola w Pradze, żądając ukarania swawoli. Cesarz stanął w obronie swoich poddanych, słusznych (jego zdaniem) karcicieli dawniejszych krzywd węgierskich. Wszczęła się gorąca rozprawa między cesarzem Karolem a posłami króla Ludwika. Obyczajność średniowiekowa nie umiała hamować żarliwości serc i języków. Mówiąc o niebacznym rządach i urzędnikach węgierskich, nadmienił cesarz o królowej Elżbiecie, matce króla Ludwika, znanej z przeważnego udziału w sprawach publicznych. W uniesieniu wymknęło mu się rubaszne o niej słowo, obrażające w najwyższym stopniu sławę kobiet. Posłowie rzucili się do również porywczej odpowiedzi: „Ani widokiem oblicza Karolowego” – prawi kronika – „ani jego majestatem nieustraszeni oddali mu Węgrzy wet za wet, i nie mogąc znieść tak krzyczącej zniewagi swojego króla i jego matki, jaką tylko mogli obelgą odparli i wywzajemnili obelgą. Lubo wiemy – rzekli w głos do cesarza Luksemburczyka – że z tą samą zuchwałością, z jaką bez sromu targnąłeś się na cześć, święte imię i sławę najjaśniejszego króla naszego i jego matki najmiłościwszej, zechcesz targnąć się także na nas, ich posłów, przecież nie zważając na żadne niebezpieczeństwa w obronie pana naszego i jego matki, głośno tu i publicznie zaprzeczamy słowu twojemu, którym zbezczęściłeś rodzicielkę najjaśniejszego pana naszego, zbeszczeszczając temsamem i tegoż pana króla węgierskiego Ludwika. Zaprzeczamy słowu twojemu, zadajemy fałsz twojej mowie, i powiadamy ci jeszcze, i jeszcze raz, żeś słowem twojem pokrzywdził i spotwarzył niegodziwie króla naszego i jego matkę przezacną. Jakoż gotowi jesteśmy obyczajem rycerskim, dowieść z orężem w ręku nieposzlakowanej czci króla naszego i jego matki, stojąc w wyznaczonym miejscu i czasie do walki bądź z tobą, bądź z jakimkolwiek innym obrońcą słowa twojego. I od tejże chwili, za bezprzykładną obelgę twoją, która nie powinna była wyjść nawet z ust monarchy, trzymającego pierwsze miejsce pomiędzy monarchami, wypowiadamy ci imieniem króla naszego, wypowiadamy wojnę tobie i cesarstwu twojemu, i królestwu czeskiemu, i wszystkim państwom twoim”.

Cesarz zmieszał się mocno na tak hardą a wielosłowną odpowiedź. Obecni też panowie dworu czeskiego jęli prośbami i przedstawieniami upamiętywać go w gniewie.

Złagodniał tedy Karol powoli i ozwał się do posłów, iż pochwycone przez nich wyrazy wymówił w żarcie. Ale posłowie nie dali się tym spokoić. „Słowa zniewagi” – rzekli – „nie

zatrzeć słowem wymów. Jeśli zresztą było obowiązkiem naszym, ująć się obrazy honoru królewskiego, toć nie jest już w naszej mocy przebaczyć taką obrazę”. Zaczynając z tymże wypowiedzeniem wojny, które od razu cisnęli w oczy koronie czeskiej, opuścili posłowie dwór i stolicę Karolową i stanęli z powrotem na Węgrzech. Tam opowiedzieli królowi Ludwikowi najdokładniej, co zaszło w Pradze i jak sobie postąpili wobec cesarza. Król Ludwik nie tylko pochwalił znalezienie się swoich posłów, lecz nadto bogatymi darami w ziemiach wynagrodził ich śmiałość. Sam zaś zabrał się do spełnienia co prędzej groźby poselskiej i ogromną wojną postanowił zmazać obelgę.

Uderzony tą wieścią świat nie dziwił się bynajmniej postanowieniu królewskiemu. Znieważona cześć królowej Elżbiety zdała się wszystkim godną tej srogiej zemsty. W matce „Wielkiego” króla Węgier Ludwika, w siostrze również „Wielkiego” Kazimierza Polskiego, czczono powszechnie jedną z najwspanialszych niewiast onego czasu. Znały ją z cnót i rozumu strony domowe, znały kraje odległe.

W Węgrzech za panowania mądrego króla Ludwika, który prawie w każdym rozporządzeniu dokumentowym odwołuje się do mądrych rad „Najjaśniejszej pani Elżbiety, naszej matki najukochańszej”, służył jej urzędowy tytuł, „spółrządczyni” królestwa. W połączonym niegdyś z koroną węgierską Neapolu przywiodła ona do skutku koronację młodszego syna Andrzeja, zamordowanego później przez stronników żony Joanny. W Rzymie obchodzono uroczystą rocznicę jej pielgrzymki do tegoż miasta, w odwdzięczenie złożonych wówczas przez Elżbietę ofiar pobożnych. Z Anglii, od sławnego króla Edwarda III, dochodziły ją najprzyjaźniejsze listy pociechy po stracie syna Andrzeja. A w jakimże poszanowaniu była królowa Elżbieta u papieżów, w francuskim Awinionie! Jan XXII w uznaniu jej czynów bogobojności, mianowicie licznych fundacji klasztorów franciszkańskich, nazywa ją „córą błogosławieństwa i łaski.” Klemens VI w najważniejszych sprawach polityki przyrzeka stosować się do „rad jej roztropności” Grzegorz XI uprasza ją o opiekę nad zagrożonym przez syna Ludwika duchowieństwem węgierskim. W ciągu traktatów o zapewnienie polskiej Korony siostrzeńcowi Ludwikowi, ona to nie kto inny, prowadzi układy pomiędzy obydwoma królami i narodami, i tymiż właśnie czasy, roku 1359, przyjmuje w imieniu Ludwika hołd szlachty polskiej w Sączu. Tak wielostronny udział w sprawach publicznych nie mógł wprawdzie nie narazić Elżbietę na nieprzyjaźń stronnictw przeciwnych; owszem wraz z swoim małżonkiem, królem Karolem Robertem, stała się ona niegdyś ofiarą zamachu królobójczego, który ją nawet nabawił kalectwa ręki obciętej, lecz tak w rozsiewanych z tego powodu kłamliwych za granicą pogłoskach, jako też w innych niepomysłnych o niej podaniach nie było więcej w istocie prawdy, jak zwyczajnie w

pokątnych złorzeczeniach zawiści. Jakoż nie wiedząc o nich zgoła w ziemi węgierskiej, oddawano jej tam hołdy powszechne i jednogłośnie oburzano się, gdy teraz gruchnęła wiadomość o zelzeniu jej przez cesarza.

A oburzenie kraju miało tym większą słuszość za sobą, ileż że Karol IV zostawał w związkach bliskiego powinowactwa z królem Ludwikiem. Był on bowiem teściem Ludwika, małżonka córki Karola Małgorzaty, i lubo królowa Małgorzata od lat kilkunastu umarła, nie zerwał się przecież węzeł bliskości rodzinnej. Prócz tego słynął cesarz zresztą jako pan mądry, stateczny, pieczołowity o dobro ludu i spokój z sąsiadami. Dorównywał on w tej mierze obudwom sąsiadom swoim w Węgrzech i Polsce i niełatwo zaprawdę znaleźć w historii drugą dwudziestkę lat, w którejby sąsiadowało z sobą trzech tak znakomych monarchów jak właśnie nasz Ludwik, Kazimierz i Karol. Nie mogąc oderwać oczu od tej nieśmiertelnej trójcy monarszej, dostrzegamy w niej zajmujące odcienia pojedynczych obliczów. Jako gospodarze, administratorowie, prawodawcy, sędziowie, są oni wszyscy zarówno błogosławionymi, wielce podobnymi do siebie dobroczyńcami swoich narodów: lecz wpatrując się w nich ze strony osobistych skłonności, osobistej ambicji i próżności, widzimy z zadziwieniem trzy wcale różne postacie. Ludwik, potomek najświetniejszej w Europie rodziny, jaśniejącej polorem Francji i Włoch; bliski bratanek dwóch głośnych w świecie Świętych, króla Ludwika IX i biskupa tolosańskiego Ludwika; najmożniejszy z królów ówczesnych – dbał najskrupulatniej o moralny pozór swoich postępów, o wykwinną, manierowną powierzchowność wszystkich swoich kroków i obyczajów, o chwałę wzorowego monarchy u potomności, rozkwitającą mu już za życia spod pióra poetów i dziejopisów. Rubaszny Piast krakowski, wychowaniec uboższych, mroczniejszych, bardziej prostaczych stron, mniej wymyślny w swoich pretensjach, niełakomy pochlebstw pisanych, lubił życie wesołe, prawdę zaprawną żartem, rozkosz bez więzów i hamulca, łowy przeplatane miłością. Karol IV przeciwnie, syn plemienia rozmiłowanego w pracy książkowej, ubiegał się najchętniej o sławę uczoneści, zachęcał podobnych do nauk i pisarstwa, parał się sam autorstwem, napisał mianowicie *Pamiętnik życia swojego*. A pamiętniki cesarza Karola Luksemburczyka, zdumiewającego świat ówczesny umiejętnością pięciu języków, to encyklopedia wszystkich nauk średniowiekowych. Doczytasz się tam i historii, i prawa, i medycyny, teologii na koniec, obdarzającej nas kilką różnymi kazaniami, czyli jak je autor nazywa „imaginacjami” na jeden i tenże sam tekst pisma św. Wszystko zaś owiane jest gęstą mgłą mistycyzmu, która na każdej stronicy dzieła skłębia się w poważnie opisywane *fata morgana* najdziwotworniejszych wizji, snów i widziadeł. Cóż za dzika np. wizja o aniołach z mieczami miała zwiastować Karolowi bliską śmierć delfina francuskiego! W innym miejscu



opisuje cesarz następujące zjawisko nocne, pamiętne dla nas jako skazówka do wytłumaczenia sobie napaści na cześć królowej Elżbiety. „Zajechałem późno w nocy” – opowiada Karol w swej autobiografii – „na zamek w Pradze, do domu burgrabskiego. I położyłem się spać, ja w jednym łóżku, a mój podkomorzy Wilhartitz w drugim. I palił się wielki ogień na kominie, bo było to porą zimową. I wiele świec gorzało w komnacie, a wszystkie drzwi i okna były zamknięte. Otóż zaledwieśmy zasnęli, zaczęło chodzić coś po komnacie; tak, żeśmy obaj ocucili się ze snu. Kazałem tedy Wilhartitzowi wstać i obaczyć, co to takiego? On zaś wstawszy, obszedł całą komnatę, obejrzał wszystkie kąty, lecz nic nie znalazł. Zaczem naniecił jeszcze większe ognisko, zapalił jeszcze więcej świec, i poszedł do dzbanów z winem, które stały dokoła izby na ławkach. Tam napił się z jednego i postawił dzban koło jarzącej świecy, i położył się spać. Ja spać nie mogłem, lecz owinąwszy się w płaszcz, siedziałem cicho na łóżku. Aż tu słyszę, chodzi znowu coś po komnacie lubo nikogo nie widać! A gdy tak z Wilhartitzem patrzymy przestraszeni na dzbany i na świece, zrywa się jeden dzban i jakby nie wiem przez kogo tam rzucony, leci poprzez łóżko Wilhartitzowe, z jednego kąta komnaty w drugi, skąd odbity o próg, pada nareszcie na środek izby.

Widząc to zlekliśmy się niezmiernie i słyszeliśmy kogoś chodzącego wciąż po komnacie, ale nikogośmy nie widzieli. Poczem przeżegnawszy się znakiem krzyża św., zasnęliśmy szczęśliwie, i spaliśmy aż do rana, a dzban próżny leżał nazajutrz rano na temsamem miejscu na środku izby, jak go tam coś w nocy rzuciło”. – Owóż i ta nocna przygoda z dzbanem i słowo ubliżenia Elżbiecie wypłynęły ponoć z jednej i tej samej ułomności wielkiego króla Czech. Tak przynajmniej mniemał królewski syn Elżbiety, a jego skrupulatność w rzeczach honoru nie pozwalał posądzać go o zmyślenia. Mniemał zaś Ludwik, iż przed owym posłuchaniem posłów węgierskich musiał Karol za wiele pofolgować trunkowi, wyrzucił mu to owszem w oczy monarcha Węgier, obsyłając go dla tym większego rozgłosu powtórnym wypowiedzeniem wojny, w swoim własnym imieniu. „Gdybyś zbyt często nachylił dzbana, Karolu” – opiewał między innymi ten akt dyplomatyczny „nie jest już panem ani zmysłów swoich ani swego języka”. Chodziło teraz o to, aby i w gromadzącej się nad Karolem burzy wojennej nie stracić podobnie równowagi.

A zanosilo się na wojnę, o jakiej nie miały dotąd wyobrażenia dzieje średniowiekowe. Zwyczajnie panuje zdanie, iż dopiero z końcem 15 i początkiem 16 stulecia, z powodu wdzierania się królów francuskich do Mediolanu i Neapolu, nauczyła się dyplomacja wiązać aliansy wielu różnych koron przeciwko sobie. Tymczasem oto już teraz w połowie 14 wieku, ku obronie sławy Elżbiety, stanęło przymierze wojenne, którym by się pochlubić mogła dyplomacja dzisiejsza, przymierze sześciu większych i mniejszych mocarstw. Aby z tym

niewątpliwym skutkiem uderzyć na Karola Luksemburczyka oraz przekonać świat, jak wielu obrońców znajduje część spotwarzonej królowej, wziął się Ludwik Węgierski, wyruszył na wojnę w towarzystwie jak największej liczby sprzymierzonych z sobą królów i książąt. W średnich wiekach każda wojna uchodziła za wielki sąd boży między dwoma przeciwnikami, a którego z nich prowadził więcej aliantów, niejako świadków i poręczycieli swojej słuszności, tego sprawa okazywała się sprawiedliwszą i rzeczywiście odnosiła zwycięstwo. Osobliwie związki rodzinne kierowały w szukaniu spółobrońców takiej sprawie przed sądem bożym. W obecnym razie najbliższe pokrewieństwo łączyło Ludwika z królem polskim Kazimierzem, rodzonym bratem Elżbiety. Do niego też zgłosił się najpierw syn Elżbiecin z wezwaniem, aby nie ścierpiał obojętnie zniewagi siostry swojej, lecz wszystkimi siłami wsparł go w odemszczeniu jej krzywdy. Król Kazimierz oświadczył posłom węgierskim, iż nie tylko wszystkimi siłami wesprze Ludwika, lecz wstąpi na wojnę w własnej osobie i przyprowadzi posiłki ruskie, litewskie i tatarskie. Wraz z poselstwem do Kazimierza udali się inni posłowie węgierscy do pomorskiego księcia na Szczecinie, Bogusława V, spokrewnionego z Piastami, a tym samym i z królową Elżbietą. Był on wnukiem rodzonej ciotki Kazimierza polskiego, i miał nadto za sobą jego córkę Elżbietę, poślubioną mu od lat ośmnastu. Przystąpił więc i Bogusław do ligi przeciwko nieprzyjacielowi swojej bratanki Elżbiety i dalszego owszem uzyskał jej sojusznika. Liczył on bowiem podobież do swoich krewnych króla duńskiego Waldemara IV, Atterdaga, pana przedsiębiorczego i możnego, który dla długiej wojny z hanzeatyckimi miastami Rzeszy niemieckiej żywił w sercu żal do cesarza. Zaproszony przez poselstwo węgierskie, podał tedy i Waldemar zbrojną rękę do spółki przeciwko Karolowi, zagrożonemu jednocześnie dwoma nowymi sprzymierzeńcami Ludwika w samej Rzeszy niemieckiej. Jęli się tam strony królów Węgier i Polski dwaj potężni książęta, Rudolf, książę rakuski, i Meinhard, książę bawarski. Zwłaszcza pomoc księcia rakuskiego Rudolfa, słynnego z rozumu i gospodarności założyciela akademii wiedeńskiej, dodawała blasku sprawie Elżbiety, gdyż był on zięciem cesarza Karola IV, a stając do walki przeciw własnemu teściowi, świadczył tym samym najgłośniejszą o jego niesłuszności.

Jakoż z tymiż właśnie książętami czeskimi związali się królowie Węgier i Polski najściślejszym przymierzem.

W pierwszej połowie marca roku 1362 ułożony został w Budzie dokument ugody między królem Ludwikiem a książętami Rudolfem i Meinhardem, warujący Ludwikowi wszelką pomoc w wojnie z cesarzem. Posunął się ten traktat owszem aż do projektu rozbioru państw Karolowych, wzmiankując osobno o sposobie, jakim sprzymierzeni dzielić się mają spodziewaną zdobyczą cesarskich „ludzi miast, miasteczek, grodów i twierdz”. Był przy

tym obecny i król polski Kazimierz, który już nadto wiekiem, już stopniem pokrewieństwa górując nad Ludwikiem, wpływał przeważnie na jego terażniejsze koneksje polityczne. Toż jako najstarsza głowa w rodzinie przyjął on także zapewnienie przyjaźni i pomocy od sprzymierzeńców swego siostrzeńca węgierskiego. Nowym dokumentem z tegoż samego roku, w Presburgu obowiązali się książęta Rudolf i Meinhard, tudzież młodsi Rudolfowi bracia Fryderyk, Albert i Leopold, pod poręczycielstwem kilkudziesięciu baronów rakuskich i bawarskich, do „wieczystej i nierozzerwanej jedności z królem Kazimierzem”, przyrzekając nie zawierać bez jego wiedzy żadnych związków rodzinnych, nie wszczynać żadnej wojny, nie wchodzić w żadne przymierza, co też zastrzega wzajem Kazimierz. Poruszono wszelkie sprężyny dyplomacji ówczesnej, aby powiększyć zastęp obrońców czci Elżbiecinej. Obrażony honor Elżbiecin, można śmiało powiedzieć, pobudził dyplomację do najwcześniejszego przykładu szerokich, różnorodnych sojuszów. Dzięki jej zabiegom urosło przeciw nieprzyjacielowi zacnej królowej węgierskiej po szóste przymierze państw, sięgające od gór tyrolskich aż po stepy tatarskie, od Adriatyku aż po skandynawskie wybrzeża. A tak ogromnej potędze mógł cesarz Karol opierać się jedynie siłami swoich Czech, Moraw i kilku mniej możnych książątek Rzeszy. Stąd gdy uderzyła godzina sądu bożego, godzina tak nierównej ze wszechmiar walki, można było najgwałtowniejszych obawiać się katastrof. Wschód i zachód – prawi nasza kronika – patrzyły z przestachem na bliską walkę między cesarzem zachodu a królami całego prawie wschodu katolickiego.

I przyszło też niebawem do rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich. Już w lecie roku 1362 zgromadziły się wojska węgierskie pod wodzą króla Ludwika w okolicach Kolina. Na rozpostartych między nimi polach morawskich miały prawdopodobnie rozstrzygnąć się losy wojny, może losy cesarstwa. W uczuciu swoich szczuplejszych sił i mniejszej słuszności sprawy przychylił się król czeski do układów. Przybył do obozu węgierskiego poseł Karolów, książę Bolko świdnicki, niosąc projekta pojednania. Król Ludwik nie okazywał się przeciwnym pokojowi, byle uczyniono zadość sprawiedliwości. Zdaje się przecież, iż propozycje księcia Bolka nie dochodziły miary wymagań sprzymierzeńców, gdyż zapalona raz pochodnia wojny nie zgasła. Owszem zbrojono się tym usilniej, ściągano zewsząd posiłki, a cesarz Karol lękając się wszechstronnego najazdu Czech, zaopatrzył wszystkie główne miasta kraju w potrzebny zapas oręża. Świat pozostał w dawnej obawie, po dawnemu na spodziewane pobojuwisko zwracając wzrok niespokojny. Wtem jak to często bywa, uwaga ludzka w jedną wyteżęła się stronę, a ważne wypadki uderzyły właśnie z przeciwnej. Rozniosła się wiadomość o śmierci papieża Innocentego VI, zmarłego w pierwszych dniach września r. 1362 w Awinionie. Po niej nastąpiła wieść o wyborze papieża Urbana, męża

rzadkich darów umysłu i głośnej świętobliwości. Były to wypadki, które wszystkim sprawom onego czasu mogły odmienną nakreślić kolej. Nowy papież pałał chęcią uspokojenia świata, zwichrzonego we wszystkich stronach. Pomędzy wszystkimi zamieszkami nie było niebezpieczniejszej nad wojnę sprzymierzonych królów z cesarzem. Na szczęście wśród przydłużych rokowań o pojednanie nadeszła zima, a nikt w zimie nie prowadził wojny podwóczas. Wszakże za pierwszym promieniem wiosny, zapowiadano sobie zgubę wzajemnie. Chodziło więc papieżowi o jak najspieszniejsze przytłumienie pożaru. Za ledwie minęły pierwsze intronizacji apostolskiej obrzędy, zagarnął się Ojciec św. do pracy około zażegnania wojennej burzy na wschodzie. Uderzyła we wszystkie dzwony dyplomacja papieska, ta macierz wszelkiej dyplomacji nowego świata. Jak głównie przemyślnością dyplomatyczną urosła liczba obrońców Elżbiety, a nieprzyjaciół Karola, tak podobnie rozumem dyplomatycznym, lecz rozumem najświętszej w obecnym razie intencji, należało rozdzierznąć węzeł. Zebrała się w imieniu papieża wielka dyplomacja, wielka ambasada pokoju, mając obejść z kolei wszystkie dwory nieprzyjacielskie. Przewodniczył jej biskup wolturański, później Horeński, Piotr, któremu Urban V listem wierzytelnym z dnia 24-go stycznia roku 1363-go, jako „aniołowi pokoju, w kraje niezgody wysłanemu”, zlecił wszelkie ze swojej strony pełnomocnictwo. Obok biskupa Piotra dążyli tąż samą drogą biskup akweński Gwido. Generał zakonu św. Dominika i uczony a świętobliwy franciszkanian imieniem Jan. Wraz z legatami szły mnogie listy papieskie do cesarza Karola, do jego brata Jana, margrabi Morawskiego, do królów Ludwika i Kazimierza, do królowej Elżbiety, do arcybiskupów pragskiego i mogunckiego. Najpierwszą stacją zatrzymała się ambasada papieska u cesarza Karola, na dworze czeskim. Po wręczeniu pism apostolskich upomnieli delegaci Karola dość surowo, „aby zaniechał wojnę nieprawą, która przynosi więcej klęsk niż tryumfów, więcej sromu niż sławy, więcej szkód niż korzyści, gdyż gubi tysiące dusz i zachęca ludy barbarzyńskie do napadów na kraje chrześcijaństwa zwaśnionego. Od cesarza wyszła pierwsza pobudka waśni, on też niech ją pierwszy zgasi zawczasu, a gdyby trwać chciał w uporze, tedy niech wie, że kto się okaże przeciwnym zgodzie, przeciw temu sam Ojciec św. gotów jest powstać całą mocą swoich rad i posiłków”. Karol IV wiedział nazbyt jasno niepomyślność położenia swojego, aby się miał ociągać z podaniem ręki do zgody. Oświadczył zatem uległość pośrednictwu apostolskiemu i ochotę uczynienia zadość żądaniom sprzymierzeńców. – Z tym szczęśliwym owocem posłannictwa swojego udali się legaci następnie do Węgier, na dwór króla Ludwika. „Godzi się poskromić zawziętość gniewu”, – ozwały się tam łagodniej przedstawienia orędowników. „Dla jednego słowa płochego, za które zresztą cesarz słuszną przyrzeka wynagrodę, grzechem byłoby przedłużać wojnę,

równie monarchom, jak i narodom zgubną, żadnym widokiem pożytku nie osłodzoną”. Uznał to pobożny król węgierski i oznajmił gotowość do złożenia oręża, jeśli sprawiedliwemu celowi wojny stanie się zadość. Jakimby zaś sposobem dał się osiągnąć ten warunek, miała okazać się o kresu dalszej podróży wysłanników papieskich. Ta zaprowadziła ich przez Karpaty nad Wisłą, do stolicy polskiego króla Kazimierza. Kazimierz był najstarszym w rodzinnej lidze przeciwników cesarskich, i o niego też musiały ostatecznie oprzeć się wszelkie usiłowania rozjemcze. Czuł tę wagę swoją król polski i nie myślał bynajmniej zrzec się korzyści, jakieby stąd spłynąć mogły na jego państwo. Pospołu z oczyszczoną czią królowej z plemienia Piastów miała także zajaśnieć sława ich starożytnej korony. Wypadło tedy legatom wynaleźć dla Kazimierza pewien dank okazały za przystąpienie do zgody. Zważając jego znaną mądrość i sprawiedliwość, ofiarowano mu za porozumieniem z resztą stron spornych rolę sędziego polubownego, któryby wraz z świdnickim księżciem Bolkiem rozstrzygnął nieodwołalnie sprawę czesko-węgierską. Wszakże i poddanie się tak dostojnych monarchów, jak cesarz rzymski i król węgierski, wyrokowi Kazimierzowemu, okazało się jeszcze niedostatecznym. Posłowie apostołscy ujrzeni się w potrzebie przydać pewien dalszy zaszczyt polubownictwa. Po szczęśliwym wymyśleniu onego, rozpoczęły się nowe zwiady u dworów, czeskiego i węgierskiego, azali i one zgadzają się na wniosek. A był to projekt zaradzający od razu ostatnim trudnościom pojednania. Wychowywała się u dworu Kazimierza w Krakowie jego pomorska wnuczka Elżbieta, córka szczecińskiego księcia Bogusława, od lat kilku osierocona po matce. Młodociane lata księżniczki miały się już ku zamięściu, a jej koligacja z tylu królami, jako to z królem polskim, węgierskim, duńskim, przeznaczyła ją chyba bardzo wysokiemu oblubieńcowi. Celowała też księżniczka niepowszednią urodą ciała a osobliwie rzadką krzepkością. Opowiadano sobie o niej w latach późniejszych, iż nieraz „gdy jej przyniesiono nową grubą podkowę, tak ją rozłamała, jakoby była z jakiego słabego drzewa uczyniona; potem kucharskie tasaki i inne dosyć mocne narzędzia zwijała, jakoby z lipowego drzewa robione były; pancierz wzięwszy, jako koszulę wiotką od wierzchu aż do końca rozdarła, co było z wielkim podziwieniem wszystkich książąt i panów, tak przy stole wówczas siedzących, jako stojących, czego nigdy na niej żaden człowiek dawniej nie widział, tylko to natenczas (tj. znacznie później od opowiadanych obecnie zdarzeń) gwoli małżonkowi swemu czyniła”. Teraz oblubieńcowi pięknej, a silnej wnuki Piastów uśmiechał się jeszcze posag bogaty, przyrzeczony od możnego dziada Kazimierza. Owóż tę piastunkę królewskiego dworu w Krakowie umyślili posłowie papiescy połączyć małżeńskimi ślubami z cesarzem Karolem Luksemburczykiem, od kilkunastu miesięcy wdowcem po trzeciej żonie. Stałoby się takim sposobem najpewniej zadość pożądanemu dziełu pokoju. Zakończenie wojny weselem

stawiało rękojmię, iż poswatani nieprzyjaciele nie tak łatwo porwą się znów do oręża. Poślubienie cesarza z wnuką króla polskiego zdało się dalej najstosowniejszą nawiązką wyrządzonej Elżbiecie krzywdy. Młoda księżniczka pomorska była oraz wnuką węgierskiej siostry Kazimierza, a tym samym rodową uczestniczką jej sławy. Gdyby potwarcze słowo Karola o babce było prawdą, nigdyby on nie przystał na połączenie się z wnuką. Ofiarując jej swoją rękę cesarską, uznawał on przed całym światem płonność słowa onego. Spodziewane w takim razie gody weselne w Krakowie przyozdabiały nowym lustrem stolicę i króla Polski. A głaszcząc tak przyjemnie wszystkie pretensje, zasługiwał fortunny projekt legatów na jak najusilniejsze starania o wprowadzenie go w rzeczywistość. Jakby też na wyścigi, krążyły bez ustanku dyplomacje między Krakowem, Pragą a Wyszogrodem węgierskim. I prędzej niż można było tuszyć, nadbiegła wiadomość o przyzwoleniu Karola. Pod koniec stycznia wyruszyła ambasada papieska dopiero z Awinionu w swoją podróż na wschód, a z końcem marca, po tylorakich konferencjach pomiędzy królami zwaśnionymi, stanęła zgoda na ostatni warunek, uspienia sporu małżeństwem. Widać, iż chciano koniecznie uprzędzić tym przejście wiosny, usłyszał świat z radością o bliskich godach weselnych. Miano je zaś za prawdziwy owoc zrząceń niebieskich, gdyż zdarzyło się dziwnym sposobem, iż w tym samym czasie, kiedy legaci układali projekt ożenienia Karola z wnuką Kazimierza i Elżbiety cesarz Karol powziął z swojej strony też samą myśl, postanawiając zgłosić się o rękę młodej księżniczki pomorskiej, aby tym sposobem rozerwać alians Kazimierza z Bogusławem i Waldemarem. Tym-ci chętniej i niezwłocznie należało przystąpić teraz do spełnienia tego aktu błogosławieństwa. Już w miesiącu następnym, w kwietniu roku 1363-go miały odbyć się w Krakowie uroczystości weselne, poprzedzając polubowne roztrygnięcie całej sprawy przez Kazimierza odroczone do chwili nieco późniejszej.

Spieszyło tedy do Krakowa na miesiąc kwiecień tak liczne dostojne towarzystwo weselne, jakie mało która stolica widziała kiedykolwiek w swych murach. Dążył tam mianowicie oblubieniec cesarski Karol, otoczony gronem panów czeskich i rzeńskich. Po oblubieńcu potrzebną była przede wszystkim obecność ojca oblubienicy, księcia pomorskiego Bogusława. Z księciem szczecińskim jechał jego królewski bratanek Waldemar Atterdag, głośny na północy monarcha duński. Zmierzał też do Krakowa najbardziej zainteresowany w całej sprawie król Ludwik, sławny w ówczesnym świecie jako pan tyłu koron (to jest wymienionych w jego intytulacji królewskiej, koron Węgier, Dalmacji, Kroacji, Ramy, Serwii, Galicji, Lodomerii, Kumanii i Bośni), „ile zaledwie wszyscy inni królowie europejscy, razem wzięwszy naliczyć mogą”. Przy boku syna Ludwika znajdowała się królowa Elżbieta, poniewolna przyczyna poprzedniej wojny i terażniejszego wesela. Każden z

monarchów średniowiecznych poczytywał sobie za obowiązek honoru mieć w swoim orszaku kilku książąt hołdowych. Przybywali tym sposobem z cesarzem Karolem IV książęta bawarski i świdnicki, Otto i Bolko; z królem Ludwikiem Władysław, książę opolski; nareszcie mazowiecki hołdownik Kazimierzów, książę Ziemowit. Nie chybiło dalej bodaj poselstwo od sprzymierzonych książąt rakuskich, przeszkodzonych w osobistym przyjeździe śmiercią spółprzymierzeńca Meinharda, którego osierocone dziedzictwo, hrabstwo Tyrolu, przechodziło tymiż właśnie dniami w wieczyste posiadanie rakuskie. Nie brakło podobnież któregoś z posłów papieskich błogosławionych sprawców całej uroczystości. A cóż za tłumy bezimiennych książąt pomniejszych, pośledniejszego rycerstwa, tak zwanej wędrowniej, czyli błędnej z wszystkiego świata szwalerii, płynącej w każdej porze podobnej na miejsce zgromadzenia, płynęły obecnie do Krakowa! Wszakże nad wszelką mieszaninę tak różnobarwnych drużyn gościnnych niższego rzędu, nawet poniekąd nad owe znajome głowy monarsze, świecił oczom ówczesnym i świeci wspomnieniu dzisiejszemu pewien z daleka nadciągający przybysz królewski. Był to król Jerozolimy i Cypru Piotr, z rycerskiego domu Luzynianów francuskich. Mimo krótkości panowania swojego, zasłynął on w dziejach jako Piotr „Wielki”, a pełna przygód historia jego rodu i życia otoczyła go wszelkimi promieniami romantyki średniowiecznej. Luzynianowie francuscy wypiastowali się na łonie czarodziejkiej rycerskich czasów poezji, która najpiękniejsze kwiaty swego zamyślenia, jak np. znaną po dziś dzień powiastkę o Meluzynie, lubiła splatać z dziejami ich domu starożytnego. Najromantyczniejszy obrót historii średniowiecznej krzyżowe wyprawy do ziemi św., zaniósł Luzynianów na tron Jerozolimy i owej wyspy Cypryjskiej, szczęśliwej wyspy gajów oliwnych i cyprysowych, którą starożytność klasyczna uznała najrozkoszniejszym zakątkiem swojego świata, czyniąc ją rodzinnym miejscem bogini rozkoszy i miłości, siedliskiem czci Afrodyty.

Od niedawna na cypryjskim tronie osiadłszy, królował Luzynian Piotr nie królując, częstszy gość zagranicą niż w domu, chciwszy wieńców sławy rycerskiej niż planowania, wiedziony raczej poetycznymi widzeniami jakiejś wielkiej przyszłości, niż pospolitą chęcią rozkoszowania w słońcu dzisiejszym. – Gwoli tej wywarzonej chwale lat przyszłych, dla odzyskania utraconej do Turków stolicy jerozolimskiej, opuścił Piotr swoje królestwo rzeczywiste i w połączeniu z kawalerami rodyjskimi począł najprzód wojować Saracenów w Azji Mniejszej, mianowicie pod murami szczęśliwie wydartej im Salali. Stamtąd udał się zwycięski Cypryjczyk do Europy, aby za pomocą nowego papieża Urbana wzbudzić powszechną wyprawę krzyżową do ziemi świętej. Dwór awinioński okazał najgorętszą przychylność zamysłom Luzynianowym, podzielanym również przez króla Francji Jana.

Chcąc im dalszą uzyskać pomoc, skierował Piotr kroki swe ku cesarzowi Karolowi IV, wybierającemu się właśnie na gody weselne do Krakowa. Bliski tam zjazd tylu królów i książąt zdał się Luzynianowi nader pomyślną sposobnością do wielkiej odezwy na rzecz krucjaty. Zaproszony więc przez Kazimierza W., udał się Piotr Wielki wraz z cesarzem Luksemburczykiem do stolicy polskiej nad Wisłę. Jak niedawno według kroniki cały wschód i zachód stawał u podnóża Tatrów do boju naprzeciw siebie, tak obecnie tenże sam wschód i zachód, a z Waldemarem i Luzynianem jeszcze i północ, i południe dążyły zgodnie na krakowską ucztę pokoju.

Już się wszyscy książęcy i królewscy goście zjechali. Brakowało tylko cesarza, któremu godność pierwszego monarchy w chrześcijaństwie nakazywała przybywać wszędzie ostatnim. Gdy go wreszcie oznajmiono w Olkuszu, wsiedli na koń wszyscy czterej królowie, Ludwik, Waldemar, Piotr i Kazimierz, i w towarzystwie nuncjusza papieskiego, poprzedzeni nieprzyjemnym tłumem panów każdego dworu, wyjechali drogą olkuską naprzeciw cesarzowi. O milę od Krakowa obaczyły się z daleka oba nadciągające ku sobie dwory. Nastąpiła zwyczajna wówczas walka grzeczności i ceremonii. Uradowany wyrządzoną sobie atencją cesarz zsiadł z konia i szedł pieszo na spotkanie monarchów. O czym od dworzan swoich usłyszawszy królowie zeskoczyli czym prędzej z siodła i podobnie pieszo nieśli powitanie gościowi. Wtedy przy podaniu sobie rąk przez monarchów, przy wielokrotnych uściskach pomiędzy nimi, podobnym witaniu się książąt i rycerstwa wszystkich dworów, witaniu się różnych języków i narodów na małym ziemi polskiej kawałku, cóż za radość przejęła wszystkie serca! A serca ludzkości tamtoczesnej, o pół tysiąca lat młodsze od dzisiejszych i dziecinniejsze, lubo zawsze też same w gruncie, niezmiernie przecież odmiennie swobodniej, nieumiarkowanej niż dziś wyrażały, co czuły! Zadowolenie próżności roztaczało za sobą pawi ogon najjaskrawszej pstroczyny i błyskotności w stroju, najdzikszych przechwałek w ustach; gniewie ścisnął natychmiast, czy to rycerskie, czy nawet królewskie pięści do ciosu; a łza wzruszenia, ledwie w najgłębszych wstrząśnieniach duszy zwilżająca dziś oko męskie, rozlewała z lada powodu najobfitszym strumieniem płaczu. Czytając po kronikach co chwila o płaczących z radości lub smutku bohaterach, mniemamy to kwiatem krasomównia kronikarskiego, gdy tymczasem ci bohaterowie o brzęczących pancerzach i szyszkach, chociaż z rana krwawymi godzili na się pięściami, wieczorem naprawdę najrzewniejszym szlochali płaczem. Takimi też „gęstymi łez potokami” – upewnia nas kronika – obchodzili teraz zgromadzeni rycerze, książęta i monarchowie uroczystość powitania się przed Krakowem. I dopieroż po ulżeniu w ten sposób przepelnionym radością sercom wsiedli wszyscy znowuż wesoło na koń i posunęli ku miastu. Tuż przed bramami



miejskimi czekał ojciec oblubiebnicy cesarskiej, książę Bogusław, wraz z panną młodą, otoczoną strojnym gronem matron i dziewic. Zaczynają nowe ceremonie i powitania, nowe dalej pokłony witającego w bramach stolicy duchowieństwa, mieszczaństwa, wszystkich stanów! Zeszedł na tym dzień cały i dopiero pod wieczór stanęli monarchowie w zamku królewskim. Tam obowiązek godnego przyjęcia gości dawał miejsce innym czynnościom i zachodom, w których kto inny zwracał główną na siebie uwagę. Mówimy tu o zachodach około wygodnego pomieszczenia tyłu a tyłu gości różnego stopnia, języka i obyczaju – około dzieła daleko większej zasługi w chwili obecnej, niż chwały u potomności. Dziełom takim kwitnie nazwyczaj równie rzadko wieniec uznania jak głównym zaletom wielkich wodzów wojennych. Wielkich wojowników wielbi opinia świata pospolicie tylko z odwagi i bystrości oka na polu bitwy, lekceważąc również znamienitą a częstokroć daleko istotniejszą zasługę, odniesioną przez nich starannym zaopatrzeniem wojska w codzienne jadło i odzież. Podobnie i sława świetnego ugoszczenia zgromadzonych teraz w Krakowie królów i książąt, opowiadając głośno o przygotowanych im ceremoniach, ucztach i darach, zapomina mniej sprawiedliwie o rzeczy, która może najprzyjemniej dała uczuć się gościom w chwili obecnej, tj. o ich okazałym, skorym, obfitym w wszelkie wygody pomieszczeniu, o posłusznym na wszelkie skinienia obsłużeniu. Ale nie zapomniał o niej mądry gospodarz koronny i zamku krakowskiego, Kazimierz, i porucił ją znanemu rozumowi człowieka, który prawie w równej z nim mierze podzielił sławę obecnych godów krakowskich. Był to właśnie ów ugościciel pięciu królów przy swoim stole mieszczańskim, mającym przecież w rzeczywistości daleko większe podobieństwo do stołu szlacheckiego niż mieszczańskiego. Zgodzimy się ponoć bez trudności na to zadanie, przypatrzysz się z nami bliższemu wizerunkowi Mikołaja Wierzyńka.

Pan Mikołaj nie był rodzonym lecz „wmieszkanym (jak mówiono) Polakiem”. Pochodził on pierwotnie z krain nadreńskich, tj., nie tyle z Niemiec właściwych, ile z podległych koronie francuskiej ziem flandryjskich i holenderskich, przesłanej wówczas ojczyzny przemysłu i zamożności mieszczańskiej. Obywatele tameczni, związani stosunkami kupieckimi z Gdańskiem, Toruniem i Krakowem, przybywali do tych miast i krajów jako ludzie bogaci, przemysłni, przedsiębiorczy, i osiadłszy tam z niemałymi nieraz kapitałami, oddając się korzystnym dla przedsiębiorców spekulacjom, dorabiali się ogromnej z czasem fortuny. Takim też prawdopodobnie sposobem zagnieździł się i w niezmiernie w Polsce porósł bogactwa nasz „Nadreńczyk Mikołaj, zwany Wierzynek”. Na wszelki wypadek mieszkał on od bardzo dawna w swojej nowej ojczyźnie i już w pierwiastkach panowania Kazimierza W., na dwadzieścia lat przed wypadkami daty obecnej, był wielce zamożnym obywatelem

polskim nawet urzędnikiem koronnym. Bądź to świeżo unobilitowany, bądź starym zaszczycony szlachectwem, dość, że szlachcic klejnoty herbu Wierzynekowa, czyli Łagoda, potem znamienity urzędnik krajowy, bo stolnik sandomierski, liczył on się raczej do panów ziemskich niż do rzędu mieszczan zwyczajnych. Miał Mikołaj wprawdzie obywatelstwo czyli prawo miejskie w Krakowie, posiadał grunta miejskie, mianowicie szerokie obszary po obydwóch brzegach Prądnika, bywał nawet niekiedy rajcą, czyli konsulem miejskim, lecz te wszystkie cechy miejskości służyły podobnie wielu innym członkom szlachty krajowej, posiadającej często pewną własność na gruncie miejskim; a zaszczyt radziectwa krakowskiego, zwyczajnie tylko przemijający, doroczny, od wyboru wojewodów ziemskich zawisły, znamionował częściej łaskę i zaufanie u dworu, niż moralną i obyczajową spójność z mieszczaństwem. Jako szczęśliwy zresztą właściciel wielu rzeczy światowych zadziwiał Wierzynek także właścicielstwem przemnogich tytułów i obowiązków, przedstawiających go w coraz odmiennym charakterze. Jakby w wiele różnych osób rozmnożonych swoją obrotnością wszechstronną, jest on naprzód stolnikiem sandomierskim, tj. dzierżawcą włości królewskich województwa sandomierskiego, z obowiązkiem dostarczania dworowi królewskiemu wszelkich potrzeb stołowych. Podczas wyboru rajców w Krakowie podejmował się uposesjonowany tamże stolnik na jakiś czas zaszczytu radziectwa krakowskiego, a gdy przyszła pora wybierania podatków do „komory” królewskiej, widzimy go w niektórych dawnych zapiskach „poborcą ziemskim”. Żupy wielickie znały go jednym z swoich żupników, a w miasteczku Wieliczce posiadał on wójtostwo, które przemyślny Nadreńczyk wzbogacił nowozałożonymi kramami różnych rzemiosł. W pobliżu Wieliczki i Bochni należała p. stolnikowi sandomierskiemu, niewątpliwie pomiędzy wielą innymi posiadłościami ziemskimi, „zdawien dawna” wieś Skrzyńka, gdzie pan Mikołaj występował w całym blasku ówczesnej władzy „dziedzica”. Zjeżdżając więc ze trzy razy na rok do Skrzyńki, bywał on podejmowanym dwakroć przez kmieci, raz przez sołtysa; albo jeśli się mniej często zdarzyła tam gościna, pobierał czwartą część grzywny za każdy dzień pobytu, czyli za każdy „obiad”. Na głos wojny musiał sołtys ze Skrzyńki przystawić pod herbową chorągiew pańską jednego kopijniaka, tj. jeźdźca w ciężkim rynsztunku z kopią i przynajmniej dwóch lżej uzbrojonych pachołków. W imieniu też dziedzica odprawiały się wszelkie sądy poddanych i pobierały się zwyczajne kary pieniężne, niemałe źródło dochodu. Za cztery główne zbrodnie stawali kmiecie przed trybunałem samego pana lub jego rządcy, za mniejsze przed sołtysiem, którym od czterech właśnie lat, na mocy darowizny pana stolnika, był niejaki Hencelin Wierzynek, jego „wierny domownik”, a zapewne i krewny. Gdyż do wielu innych dóbr ziemskich dał Bóg panu Mikołajowi także niemało krewnych, a na tym

samym dokumencie, którym ów Hencelin Wierzynek otrzymał sołtystwo w Skrzynce, czytamy pomiędzy podpisanymi świadkami, drugiego nawet „Mikołaja Wierzyńka, mieszczanina z Krakowa”, także „służebnika” stolnikowego. Nie nazywa atoli dziedzic Skrzynki żadnego z tych Wierzyńków krewnym swoim w dokumencie wspomnianym, bo jego fortuna ogromna, w połączeniu z mądrością niepospolitą, wyniosła go wysoko ponad poziom zwykłych rodzin mieszczańskich wprowadziła go w stosunki z książętami, osobiście z własnym królem Kazimierzem.

Ze swego obowiązku stolnika i dostarczyciela dworowi królewskiemu wszelkich potrzeb stołowych zostawał on w ciągłych stycznościach z całą liczbą dworzan i domowników królewskich, mając wiedzieć dokładnie, ilu głowom przysposobić powinien żywność. Niedaleko mu zatem było do nadzoru nad całym dworem i rzeczywiście poruczył mu król Kazimierz zarząd wszystkiej wyższej i niższej „czeladzi” dworskiej, oddał mu najwyższe u dworu dyspozytorstwo ekonomiczne, wkładając nań obowiązek starania się np. o jak najdogodniejsze przyjęcie i zaopatrzenie na zamku wszelkich gości królewskich. Potrzebując ku temu znacznych zawsze sum w pogotowiu, żupnikując przy tym w Wieliczce, pełniąc nieraz obowiązek poborcy, urzędował pan stolnik tym samym jako zawiadowca intrat królewskich, bywał owszem rzeczywistym podskarbisem. Bądź to zresztą w charakterze tyrolskiego urzędnika korony, bądź dla znanej królowi mądrości i biegłości w sprawach światowych, uczestniczył on w wszystkich radach królewskich, ledwie nie pierwszym zaszczycony tam głosem. Przy takim zaś znaczeniu u własnego monarchy nie obeszło się bez stosunków z książętami zagranicznymi, z których niejednym prośbami o pożyczanie pieniędzy nawiedzał uprzejmie p. stolnika sandomierskiego. Z wszelkich bowiem wymienionych tu obowiązków i posiadłości, jako też z ubocznych spekulacji handlowych, rosły w skarbcu Wierzyńkowym ogromne sumy złota, które obrotny Nadreńczyk wołał po zagranicznemu pożyczać na procenta, niż staroświeckim zwyczajem kraju zakopywać na przyszłe lata w ziemię. Toć tenże sam cesarz i król Karol IV., któremu teraz w Krakowie wyrządzono takie honory, zapożyczał się w swojej młodości, jeszcze jako margrabia morawski przed dwudziestą z okładem lat, znacznymi kwotami pieniężnymi u p. Mikołaja Wierzyńka, już wówczas stolnika sandomierskiego i zamożnego. Był więc nasz bogacz Kazimierzowski (acz to najmniejszą sprawia uciechę) bogatym jeszcze w lata, których już ponoć niewiele, zaledwie pięć, pozostawało mu do spędzenia na ziemi. Owóż jakoby ostatnim zaszczytem jego życia padł mu teraz obowiązek ugoszczenia królewskich swatów, wnuki pana swojego, przyjęcia na zamku krakowskim tyłu z szerokiego świata monarchów. Pan stolnik dopisał z nieśmiertelną chlubą obowiązkowi. Nagromadziwszy dostatek wszelkich

zapasów, mając na zawołanie całą służbę królewską, a liczono u dworu krakowskiego po czterystu i więcej dworzan podwóczas: potrafił on tak dogodnie i z takim ładem poumieszczać i obsłużyć wszystkich gości królewskich, iż żadnemu nie zabrakło na niczym, nie zaszła żadna zwłoka, ani zamieszka, nie zapomniano o nikim. Cesarz z królami i książętami otrzymali „przepyszne mieszkania i komnaty na zamku, strojne w kosztowne opony i kobierce, w złotogłowa i klejnoty rozliczne.” Mniej znakomitym panom, niezliczonemu tłumowi zaproszonych i owszem nieproszenie przybyłych zewsząd rycerzy wyznaczono „uczciwe” gospody w mieście. Każdemu z panów, każdej gospodzie miejskiej przydany został osobny komornik, czyli przystaw, mający pamięć o wszystkich wygodach gości. Wszystkim przystawom zalecił król Kazimierz słuchać rozkazów najwyższego zawiadowcy, Wierzyńka. Pod jego kluczem rozwarły się wszystkie skarbcce, komory, piwnice i owe z dawno nagromadzonych zapasów słynne spichrze Kazimierzowskie. Z nich na podobieństwo panny młodej u niektórych ludów słowiańskich, obsypywanej w dzień ślubu rzęsistym deszczem pszenicy, oblały się weselne gody krakowskie obfitością wszelkich potrzeb, żywności i napojów, przypominającą cudowne gody onego w Kanie Galilejskiej wesela. Przyszłoby całą księgę napisać, gdybyśmy chcieli opowiadać wszystkie szczegóły uraczenia gości królewskich. Dość będzie nadmienić, iż każdy nie tylko do zbytku otrzymał tego, co zwyczajnie należy się gościowi, lecz nadto dawano mu obficie, czego tylko zażądał, czego zapragnął z sobą na drogę lub do domu. Nasławszy wszystkim wszystkiego do komnat w zamku i gospod w mieście, porozstawiano jeszcze na rynku krakowskim ogromne w wielu miejscach beczki i kadzie, pełne wina i owsa, z których każdy czerpał nie tylko w miarę potrzeby, lecz owszem po swawoli, a które natychmiast stawały znowuż pełne jak wprzód. A jaki ład w obsłudze, jaki dostatek panował w zaopatrzeniu, taka też wesołość niezwykajna ogarnęła serca wszystkich gości weselnych. Właściwa pora zaczynała się dopiero od chwili ślubu wziętego. Aby więc nie tracić czasu na próżno, odbył się ślub cesarski już trzeciego dnia po zjechaniu oblubieńca Karola. Odbył się zaś w katedrze zamkowej, w obecności wszystkich zgromadzonych królów, nuncjusza papieskiego, książąt, panów i szlachty cudzych i swoich. Celebrował go przesławny arcybiskup gnieźnieński Jarosław, jeden z znamienitszych mężów tego bogatego w najciekawsze postacię czasu, starzec blisko dziewięćdziesięcioletni. Jeszcze trzynastcie lat mający żyć na świecie, już prawie zupełnie ociemniały, a czczony w narodzie jako „najmędrzy z żyjących wówczas Polaków”. Po ślubie nastąpiła wypłata posagu, oznaczonego przez Kazimierza W., w sumie stu tysięcy złotych florenckich. Była to stosunkowo suma zbyt szczupła, zaledwie którąś część wydatków na gody weselne stanowiąca. Mógł ją, owszem, jeden prywatny bogacz Wierzynek, jako o tym w

krótkie usłyszym, złożyć biesiadowym podarkiem królowi Kazimierzowi. Bo też podwólczas żony nie brało się dla posagu, ani dla osobistych nawet powabów. Panu młodemu chodziło głównie o teścia, o szwagrów, o bratanków, o całą męską parantelę oblubienicy, nie przynoszącej pierwotnie żadnego prawa do fortuny rodzinnej. Wszakże wiadomo, że zwłaszcza u nas kobiety czasów piastowskich wykluczone były od dziedziczenia w majątku familijnym, zachowywanym całkowicie rodzeństwu męskiemu, choćby stopni najodleglejszych zbywającemu siostrę lada jakim szelągim posagowym. Nie cenne zaś zaletami osobistymi, nie zdolne bogatym nawet posagiem „uszcześliwić” małżonka, chyba osobliwszym zbiegiem wypadków wyniesione nad poziom służebności domowej, miały kobiety w ogóle nader podrzędne znaczenie w życiu i społeczeństwie. Potrzebowały one zaiste paladynów obrończych: sama natura wynajmowała pomoc rażącym niedogodnościom społeczeństwu tamtoczesnemu, przejmując obyczaje rycerskie entuzjazmem opieki nad niewiastą, bo w świecie rzeczywistym gniotła ją barbarzyńska zewsząd niewola. Marzycielom rycerskim, poetom jak np. przyjacielowi naszego oblubieńca cesarskiego, Petrarce, pozwolono dopuszczać się tysiąca niedorzeczności na cześć kochanek, uwielbiać w sentymentalnych trelach przekwitłe wdzięki Laury, a w kole mężów poważnych, w zgromadzeniach uzbrojonych rzeczywistą władzą nad społeczeństwem, przed trybunałem sądowym i na soborach duchowych za Merowingów odsądzano córki od równego udziału w spadku ojcowskim, roztrząsano owszem pytanie, „azali godzi się nazywać kobiety ludźmi?” – pytanie niezupełnie jeszcze rostrzygnięte w wieku XVI. Kobiecie 14-go wieku należała niezaprzeczenie godność człowieczeństwa jako matce, córce, żonie, siostrze szlacheckiej; kobieta sama przez się, jako stworzenie boże, bez herbu i rodziny, daleka była od uroszczenia, aby ją stawiano na równi z rodzeństwem męskim, aby ktokolwiek ujmował się o jej cześć. Jakoż czas nareszcie dać tu miejsce uwadze, która może wiele uroku odejmie odpowiedzialnym wypadkom, lecz przyda im wiele prawdy. Cała nasza wojna o cześć kobiety była właściwie wojną o honor mężczyzn, o honor syna Ludwika i brata Kazimierza. Matka Ludwika jako kobieta, każda z kobiet ówczesnych jako taka, nie była nawet wyłączną właścicielką swojej własnej obrazu. Oblubienicy cesarskiej, wnuce bogatego króla Kazimierza, starczyła posagiem dziesiąta część tej sumy, jaką sławny w tymże wieku mistrz krzyżacki Wallenrod trwoniał według podania na jedną ucztę rycerską.

Takież uczyły kosztowne, a wesołe, uczyły blisko trzechtygodniowe miały teraz rozgłosić po świecie uroczystość wesela cesarskiego w Krakowie, chwałę gospodarza godów, Kazimierza. Codziennie przez dni dwadzieścia szły nieprzerwaną koleją turnieje, biesiady, tańce, krotofile i uciechy wszelkiego kształtu. Z turniejami łączyły się ceremonie rozdawania przez

Kazimierza bogatych danków rycerskich, każdą biesiadę uświetniało uczczenie gości upominkami, „zdumiewającymi swoją częstością i kosztownością”, każda uciecha śmiała się namiętym z całej piersi weselem, nie zapamiętanym nigdy w takiej pełni i gwałtowności. Bo jak gdyby sama pora obecnych godów krakowskich chciała podnieść je nad wszystkie znane uroczystości tego rodzaju, odbyły się one właśnie w dobie rozgorzenia świata powszechnym szalem radości. Była to radość z ocalenia od wielkiego niebezpieczeństwa, które wszystką ludzkość ówczesną śmiertelnymi niedawno opasało ramiony, a w znacznej części nawet pochłonęło w istocie. Dwoma laty przed weselem krakowskim grasowała w Europie, po dwakroć w przeciągu dwunastu lat, najokropniejsza ze znanych w historii dżum, tak zwany „czarny mór”, mniemany koniec świata. Owszem, pastwiąc się bezopornie nad pozbawionym wszelkich prawie środków pomocnych światem, pożerając wszędzie krocie, a krocie ofiar w samym Krakowie przeszło 20.000 mieszkańców przyprawivszy o śmierć stała się ta plaga boża rzeczywistym końcem świata dla całej trzeciej części ludzkości europejskiej, a w niektórych krajach, jak mianowicie w Niemczech, dla całkowitej połowy. Druga połowa, porażona w swojej młodzieńczej wyobraźni apoplektycznym wyrażeniem trudnej do pojęcia dziś klęski, uległa istnemu zawrotowi umysłu i szalejąc w jednej części szaleństwem owych włóczących się po świecie, w pół obłąkanych, wyklętych od kościoła sekt biczowników, uniosła się w większej części szalem rozkielzanej na wszystkie uciechy i wesołości pragnącej przetrwonić, przerozkoszować, co prędzej resztę życia i mienia, zanim nowy wybuch gniewu bożego zada ostatni rodowi ludzkiemu cios. Zaczyn jak szeroko wzrok historii zasięga, rozewrzała we wszystkich krajach europejskich szalona żądza zabawy, brzmia zewsząd głośnie w kronikach uczt, płasy i śpiewy, nastąpiła pora powszechnej swawoli obyczajów, ogarniającej nawet najpoważniejszych ze wszystkich stanów, nawet najwyższą jego sferę. Trwał ten paroksyzm uciechy przez lat czterdzieści do pięćdziesięciu i rzuca dziwnie jaskrawą lunę na terażniejsze gody krakowskie, obchodzone właśnie u jego wstępu, w niemałej zapewne mierze przejęte jego natchnieniem. Należąc zaś do jego najpierwszych objawów pod względem czasu, były one także pierwszymi co do znamienitości zgromadzenia swojego, co mnogości sproszonych u jednego stołu koron królewskich i książęcych, których żaden z festynów tamtoczesnych nie zgromadził tak wiele w jednym miejscu, nie uraczył z tak rozrzutną, owszem całę bajeczną okazałością, chcąc przede wszystkim światem roztoczyć chwałę swoją. Toteż nieco innego stało się Kazimierzowi pobudką do przysposobienia tak szumnych godów weselnych, tego najskuteczniejszego wówczas środka popisania się zamożnością monarszą. „Chcąc okazać światu sławę królestwa swego” – mówi podkanclerzy i historyk Kazimierzowski – „wyprawił Kazimierz wielkie ucztowanie w

mieście Krakowie”.

I nie samegoż tylko Kazimierza pobudzała wesołość tamtoczesna do zaspokojenia tym sposobem ambicji swojej. Zapragnął i możny zarządca jego dworu, pan stolnik sandomierski, milionowy bogacz Wierzynek, uczynić sobie zadość ucztą bez przykładowej okazałości. Mógł monarcha krakowski przez dni tak wiele podejmować gości wspaniale, toć i jego sędziwemu mistrzowi dworu godziło się pożądać na chwilę tego zaszczytu. A patriarchalność epoki, nie stawiającej żadnego prawie przedziału oglądy edukacyjnej między panem a sługą, równie rubasznymi jednym i drugim; a szanowność tego zacnego sługi, równie czcigodnego wiernością jak fortuną i siwym włosem, wnosiły wymowną za nim instancję. Za czym staraniem królowie i wszyscy goście mogli tak długo oddawać się w swobodzie i wygodzie wszelkim uciechom, temu należała się w końcu odwdzięka krótkiego pobiesiadowania pod jego własnym dachem. Pozwolili tedy królowie zaprosić się przezeń na ucztę i majestatycznym pochodem udali się z księżętami i pany do jego domu, opodal od zamku krakowskiego. Co więcej, za przybyciem cesarza i królów w domowe progi pana stolnika sandomierskiego, odniósł on nowy dowód ich łaski. Gdy już zasiadać miano do stołów, pokłonił się starzec monarchom prośbą, aby według własnego zdania mógł oznaczyć miejsce każdemu z królów. Otrzymałszy zaś bez trudności to pozwolenie, obrócił się Wierzynek do króla Kazimierza i rzekł; „Tobie najjaśniejszy panie, winien jestem wszystko, co mam. Ty swojemi dobrodziejstwami bez miary wzbogaciłeś mnie, przybysza; między najpierwszymi panami nasadziłeś mnie, gościa w twojem królestwie; tobie też pierwsze miejsce u mego stołu!” – i posadził Kazimierza najwyżej. Obok niego dał pan stolnik miejsce cesarzowi Karolowi IV, swojemu z dawnych lat znajomemu a nawet dłużnikowi. Tuż przy cesarzu usiadł król węgierski Ludwik, przy Ludwiku Cypryjskim Piotr, a ostatnie miejsce zajął Waldemar duński. Reszta książąt i panów rozsadowiła się według zwyczajnego porządku. I wszczęła się wielka ucztą, głośniejsza w pamięci pospolitej od wszystkich zdarzeń, które jej dały początek. Kto na niej nie był temu trudno uobecnić sobie jej rysy, tak różne od dzisiejszych, jej wesołość rubaszną, jej dziwną mieszaninę przesadnej ceremonialności z prostoduszną poufnością, jej śmiechy szczere i wiwaty ochocze. Tymci jaśniej świeci w zrokom dzisiejszym wspaniałość zebranych w Wierzyńkowym progu spółbiesiadników, mianowicie jego gości królewskich. U jednego i tegoż samego stołu, nie powtórzonym może przykładem w dziejach, siedziało czterech monarchów, uczczonych przez potomność przydomkiem Wielkich: Kazimierz Wielki, Karol IV Wielki król Czech, „Wielki” w Węgrzech król Ludwik i cypryjski Piotr Wielki. Ich piąty spółtowarzysz Waldemar jeśli nie mądrością i szlachetnością serca, tedy przynajmniej potężnym dorównał im charakterem, acz

niewielu zbyt surowym, ponurym i ciężkim narodowi. O trójcy sąsiadujących z sobą monarchów Polski, Węgier i Czech, o Kazimierzu, Karolu i Ludwiku, łatwo doczytać się wielkich rzeczy w każdej księdze dziejowej i uczynioną już pobieżną wzmianką powyżej. Dwaj dalsi ich sąsiedzi u stołu Wierzyrkowego, królowie Cypru i Danii przedstawili również niepowszedni, a nigdy bliżej nie opisany widok, widok osobliwszej sprzeczności rodzinnych obyczajów i stron, południa i północy europejskiej, ojczyzny Afrodyty heleńskiej i groźnych Norun skandynawskich. Syn słonecznego Cypru i Palestyny, wychowaniec szwalerji południowej, połyskał (jak powiedziano) wszelkimi promieniami romantyki średniowiecznej, marzącej ustawicznie o przygodach rycerskich, o awanturniczych po szerokim świecie wyprawach, o walkach z potworami, mianowicie z najokropniejszym z potworów, saraceństwem.

Poświęcając całe życie zamysłom i trudom krzyżowej wojny z Turkami, rojąc nader nieprawdopodobne odzyskanie korony palestyńskiej, powodował on się w tym na poły rzeczywistym interesem swego berła i rodu, napoły zaś poetycznym natchnieniem, poetycznymi widziadły cywilizacji ówczesnej, a jego terażniejsza gościna w stolicy polskiej, jego obecność u stołu biesiady Wierzyrkowej, na którą pomiędzy tyle różnych ludów nieznanymi zaprowadziło go na koniec długie błąkanie się po całej prawie Europie, wypłynęła zapewne raczej z powszechnego zamiłowania rycerstwa w włóczędztwo po zagranicy, niż z rozsądnego zamiaru szukania związków dyplomatycznych i posiłków wojennych tam, gdzie one w rzeczywistości bynajmniej nie uśmiechały się jego nadziejom. Na wszelki wypadek jego usilne gonienie jakiegoś wielkiego, acz niedosiężnie daleko świecącego mu ideału, kontrastowało pięknie z ponurą oziębłością na wszystkie odleglejsze zamysły w życiu, na wszelkie idealniejsze plany i marzenia ambicji, cechującą cypryjczykowego sąsiada u stołu uczyt obecnego, starego króla Danii Waldemara IV, równie mglistego w duszy jak jego niebo.

„*I morgen er atter en dag* – i jutro jeszcze dzień!” – mawiał Waldemar obojętnie, z niejakim przesyceniem długością dnia dzisiejszego, ilekroć fortuna w czymkolwiek nie dopisała; skąd jego przydomek w dziejach, Atterdag. Waldemarowe zwierzchnictwo nad przyległą Litwie Estonią, jego udział w niektórych wyprawach zakonu krzyżackiego do Litwy, głośnie na całą północ wieści o jego twardych rządach, czyniły go mniej obcym dworowi i narodowi polskiemu za Kazimierza niż pamięci dzisiejszej lecz nie ujmowały mu serc. Surowy Duńczyk ścisnął srożej swój naród niż mrozy ziemię północną. „Za króla Atterdaga” – skarżą się kroniki duńskie – „nie miał nikt nawet tyle czasu wolnego, aby zjeść, spocząć i wyspać się; tak ciężkie robocizny gniotły kraj cały”. Rozpamiętując swoje skołatane burzami życie, osobliwie dokuczającą mu często podagrą rozsrożny, zwykł był Waldemar żałować głośnie trzech rzeczy: naprzód iż nie kazał zabić w dzieciństwie swej córki



Małgorzaty, późniejszej twórczyni sławnej unii kalmarskiej jednoczącej wszystkie trzy korony skandynawskie; iż nie kazał udusić goszczących u siebie posłów hanzeatyckich; a trzecie iż nie kazał uwarzyć żywcem dwóch śmiertelnych wrogów tronu swojego. Gdy niekiedy w boleściach omroczyło go skrzydło śmierci, odpychał starzec z niechęcią wszelkie pociechy ludzkie, a wzdychał wniebogłosy: „O wspomóż, Ezrom, wspomóż, Soer i wspomóż ty wielki dzwonie mój w Lund!” – były to trzy główne fundacje duchowe Waldemara. Skoro zaś zdrowie wróciło, wyruszył król Atterdag w dalekie podróże po zagranicy i gnany owym powszechnym niepokojem rycerstwa wędrownego, pielgrzymował do ziemi św., ciągnął w odwiedziny do papieża Innocentego VI, w Awinionie, wyprawił się z Krzyżakami do Litwy, zjeżdżał do stolicy krakowskiej na ucztę Wierzyńkową, nie mniej porywczy tam spółbiesiadnik jak niejeden z łagodniejszych książąt ówczesnych. Gdybyśmy bowiem chcieli zrobić sobie wyobrażenie o teraźniejszej zabawie królów u stołu Wierzyńkowego, zwłaszcza przy kielichu po wetach, nie mogłaby nie przypomnieć się nam zgiełkliwa scena takiejże biesiadnej zabawy kilku królów i książąt, po części tych samych, którzy teraz uczują u pana stolnika sandomierskiego, opisana w wspomnianych poprzednio własnoręcznych pamiętnikach, cesarza Karola IV, naocznego świadka, owszem spółuczestnika wypadku. Oto w drodze na wyprawę krzyżową do ziemi pruskiej, we Wrocławiu, przed laty blisko dwudziestu, siedzi przy bankiecie król czeski Jan, ojciec teraźniejszego cesarza Karola; siedzi teraźniejszy król węgierski Ludwik, wówczas dopiero siedemnastoletni młodzieniec; wreszcie hrabia Holandii Wilhelm, mnodzy inni książęta i margrabia Moraw. „Między innymi rozrywkami” – pisze uczony Luksemburczyk. – Jakiemi monarchowie zwyczajnie chwile sobie skracają, przyszła wówczas kolejka na ową niegodziwą i szaloną grę w kostki, w którą król węgierski i hrabia Holandii tak zaciekle grali przeciwko sobie, iż hrabia zgrał króla na 600 złotych florenckich.

Widząc zaś, iż król gniewa się o to i ledwie wstrzymać się może od złości, uniósł się hrabia podobnież gniewem i zuchwałością i ofuknął króla w te słowa: „Miłościwy panie! Dziwi mnie, iż będąc królem tak moźnym, w którego kraju, jak mówią, złoto się rodzi, żal ci tak małej sumy pieniędzy i frasujesz się nią. Wiedz tedy, królu, i wiedzcie wy wszyscy tu obecni, że z wygranych w kostki pieniędzy nie zwykłem robić użytku, lecz pozbywam się ich bez żalu”. Co rzekłszy, wszystkie wygrane w grze floreny rzucił pomiędzy stojący dokoła lud. Król jeszcze większym na to zaczerwienił się gniewem, lecz jako człowiek rozumny, dyssymulował i zamilkł”. Weselej niż podobną grą w kostki bawił się nieraz dwór Kazimierza W., bawiło się może i teraźniejsze towarzystwo królewskie przy uczcie Wierzyńkowej, kuglarskimi figlami sławnego podwóczas krotofilnika, Niemca saskiego Eulenspiegla, w

spolszczeniu Sowizrzała, pierwowzoru nazwy i charakteru wszystkich późniejszych sowizrzałów. Trybem dzisiejszych artystów wojażujących, obnosząc swoje sztuki po różnych krajach, zbierał on wszędzie hojne żniwo oklasków i szelągów kuglował po wszystkich miastach środkowej Europy, popisywał się nieraz przed królami niniejszej gościny u Wierzyńka, mianowicie przed ponurym Waldemarem i naszym Kazimierzem. Wszakże najweselszą zabawę przygotował milionowy gospodarz dopiero pod sam koniec zebrania. Gdy goście królewscy mieli przyjąć już pożegnanie Wierzyńka, uczcił on ich upominkami niezmiernej ceny, stopniującej się według dostojności każdego z królów. „Różne zaś dary” – opowiada kronikarz – „które otrzymał w ten sposób król Kazimierz, dochodziły jak słyhać wartości stu tysięcy złotych florenckich”. Jakżeby pamięć ludzka nie miała byle przyłgnąć chciwie do tej uczty kredowej, zapominając o wszystkich innych zdarzeniach!

Śród scen takiego przepychu, zbliżał się wreszcie koniec wszelkim uroczystościom. Z połową maja, przed samymi świętami zielonymi, upłynęła pora godom weselnym. Przez dni dwadzieścia weseliły królów nieprzerwaną koleją krotofile wszelkiego rzędu, gonitwy, płasy w osobliwie huczne bankiety w komnatach odbudowanego przez Kazimierza pałacu królewskiego, ustrojonych bogato w owe „kurtyny, kobierce i purpury, na których wytwornym haftem perłami i kamieniami drogimi wyobrażone były orły i inne herby królewskie” – w owe przybory stołowe i kredensowe, owe misy z szczerego złota, naczynia z jaspisu i kryształu, niezliczone rogi do picia, wysadzone złotem i srebrem – o czym wszystkim mowa w testamentowych króla Kazimierza rozporządzeniach. Cały ten wielodniowy przeciąg czasu wydał się jednym nieustającym bankietem i uchodzi też w kronikach rzeczywiście za jedną wielką ucztę, wyprawioną dla okazania zamożności korony. Na koniec, w tymże samym zamiarze, jak bogaty Wierzynek tak i Kazimierz W. udarował gości królewskich różnymi gościńcami przeznaczonymi roznieść po dalekich krajach sławę bogactw i gościnności gospodarza swadźby krakowskiej. Natomiast miały według kroniki pozostać w Krakowie dokumenta zawartej między królami zgody i przyjaźni wieczystej, z którymi jednakże później niczyje nie spotkało się oko i które zapewne nie istniały nigdy w istocie. Całe wesele cesarskie w stolicy polskiej było jednym głośnym na wszystkie świat dokumentem, jako po dniach rozterki wróciła jedność i przyjaźń między monarchów; lecz pergaminowe tego utwierdzenie pozostawiono nieco późniejszemu czasowi. Stała mianowicie dawniej już ułożona uchwała, aby ostateczne załatwienie waśni o cześć królowej Elżbiety poruczyć dwom sędziom polubownym, królowi polskiemu Kazimierzowi i Bolkowi, książęciu na Świdnicy. Pozwolono im oraz nie śpieszyć z ogłoszeniem wyroku, choćby takowe nawet do kilku miesięcy się odwlokło. W obecnej bowiem chwili, rozjeżdżając się w

różne strony, zwrócili królowie całą uwagę na inny wielki przedmiot. Wypłynął on naturalnym biegiem rzeczy z całego wątku wypadków dotychczasowych. Powiodło się ojcowskiej pieczołowitości papieża Urbana V, przejednać królów zwaśnionych, lecz oprócz zwyczajnych pobudek miłości chrześcijańskiej świeciła mu w tym inna jeszcze myśl wielka, a tą myślą było zespolenie przejednaných monarchów w jedno powszechne przedsięwzięcie wojenne, pod znakiem krzyża – w powszechną wojnę świętą z Turkami. Tak jedno płoche słowo przeciwko czci Elżbiety, w coraz wyższe wzbijając się następstwa, wiodąc naprzód do szerokiej wojny między królami, dalej do pośrednictwa stolicy apostolskiej, stąd zaś do zamysłu wielkiej krucjaty, miało w końcu wznieść się ponad ludami sztandarem powszechnego powstania chrześcijaństwa przeciwko Islamowi. Głównym chorążym tego sztandaru apostolskiego stał się w obecnym razie rycerski król Cypru i Palestyny. Poświęciwszy słodycze ojczyzny i panowania temu wspaniałemu celowi, nie omieszkał on poprzeć w Krakowie upomnienia papieskie, zachęcić królów do udziału w wojnie krzyżowej. Wszyscy monarchowie uznali słuszność wezwania. Żaden też nie uchylił się od pomocy, acz każdego w różnym dawał ją stopniu. Kazimierz miał na karku ciągłą wojnę z pogaństwem litewskim i tatarskim, która miała zasługę krucjat. Ludwik ofiarował wojskom krzyżowym wolne przejście przez prowincje węgierskie. Cesarz Karol nie zaprzeczał położonym w niego nadziejom, iż we własnej osobie wyruszy do ziemi św. Dalsze zresztą szczegóły zamierzonej wyprawy miały być zadecydowane w stolicy apostolskiej, głosem papieża Urbana. Do Awinionu tedy zwróciły się wszystkie myśli i udała się osobiście znaczna część gości krakowskich. Szczodry ich gospodarz, Kazimierz, pozostał w domu, zajęty dopełnieniem ostatniego obowiązku gościnności, mianowicie przydaniem każdemu odjeżdżającemu królowi i książęciu osobnych urzędników, którzyby odprowadzili go aż do granic królestwa i o wszelkich po drodze pamiętali potrzebach. Główni przeciwnicy obadwaj, cesarz Karol i król węgierski Ludwik, wrócili pojednani do swoich stolic, ten z matką Elżbietą do Budy, tamten z młodą cesarzową Elżbietą do Pragi. Królowie Cypru i Danii pojechali do Awinionu, Luzynian Piotr ze sprawozdaniem z swoich kroków ku zachęceniu książąt europejskich do wojny św., Waldemar Atterdag z pobożną czołobitnością Urbanowi V, którego łaska i świątobliwość zhołdowały sobie na wieczne czasy umysł ponurego króla północy. W Awinionie, w całej Francji, rozległ się szcęk przygotowań orężnych do zapowiedzianej krucjaty. Sam król francuski Jan V. zaciągnął się pod chorągiew krzyżową i osobnym pismem papieskim został mianowany naczelnym wodzem wyprawy. Jeśli nie w bieżącym jeszcze roku, tedy najdalej z wiosną roku przyszłego miało nastąpić pospolite ruszenie chrześcijaństwa katolickiego przeciwko ludom koranu. Po stu latach spoczynku broni krzyżowej zanosilo się na nową dla

niej porę zwycięstw i chwały!

Tymczasem król Kazimierz, wolny w tym roku od napadów Litwy i Tatarów, krzątał się około polubownego zatarcia ostatnich śladów waśni czesko-węgierskiej. Aby zamierzona krucjata tym pewniejsze osiągnęła błogosławieństwo, powinni byli królowie przystąpić do niej z sercami zupełnie pojednanymi. Głównemu źródłu sporu, obrażonej czci Elżbiecinej, stało się już zadość poślubieniem Elżbiecinej wnuki z cesarzem. Resztę kąkolu pomiędzy nim a Ludwikiem umyślili obaj sędziowie polubowni, król Kazimierz i Bolesław książę świdnicki, zgarnąć w jeden snop ryczałtowy i bez wszelkiego roztrząsania rzucić go w ogień. Zaczynając, gdy w miesiącu grudniu nadszedł termin ogłoszenia wyroku, ułożyli sędziowie następujący dekret kompromisarski, arcyszacowny zabytek dawnej prostoduszności w rozsądzaniu najwyższych spraw, najcenniejszy może z przywiezionych tu dokumentów dyplomacji średniowiekowej. „My Kazimierz z Bożej łaski król polski i Bolko z tejże samej łaski książę szląski i pan Świdnicki, wiadomo czynimy wszystkim, którem na tem zależy, jako najjaśniejszy książę i pan, Karol IV., z przejrzenia Bożego rzymski i czeski król, tudzież oświecony książę Jan, margrabia morawski, z jednej strony; z drugiej zaś najjaśniejsi książęta i panowie, Ludwik, król węgierski i Rudolf, tudzież reszta jego braci, książęta Austrii, według brzmienia obszerniejszych w tym względzie listów, obrali nas za rozjemców, przyjacielskich jednaczy, czyli sędziów kompromisarskich, ku załatwieniu wszelkich między sobą sporów, niesnasek i rozterków, od czasów najdawniejszych aż do dnia dzisiejszego. Zaczem mocą udzielonej nam władzy rozjemczej, zawyrokowaliśmy zgodną wolą i przykazujemy listem niniejszym, aby obiedwie strony rzeczzone, zaniechawszy wszelkich pomiędzy sobą sporów, niesnasek i rozterków, pozostały na zawsze dobrymi przyjaciółmi, bez wszelkiej obłudy i podstępności. A dla tem pewniejszego świadectwa kazaliśmy ułożyć pismo niniejsze, zatwierdzone pieczęciami naszemi.” Działo się w Krakowie, w wigilię św. Łucji (12 grudnia) roku pańskiego 1363-go. Księżna rakuska Katarzyna, córka cesarza Karola, a małżonka księcia Rudolfa, sprzymierzeńca Ludwikowego, równie przeto bliska stronom obudwom, podjęła się skłonić je do tym rychlejszego przyjęcia uchwały sędziów krakowskich. Nastąpiło to bez wszelkiej zresztą trudności. Już w kilka tygodni, dnia 10 lutego roku 1364-go, wydali sobie Karol, Ludwik, Karolów brat Jan, książęta rakuscy Rudolf, Albert i Leopold, uroczysty wzajem dokument, którym wszyscy zeznają, iż za pośrednictwem „najjaśniejszej, oświeconej, zacnej i mądrej Katarzyny” przyzwolili na wyrok polubowny Kazimierza i Bolka i pod przysięgą na ewangelię św. i relikwię drzewa z krzyża pańskiego, zaprzysięgają sobie wieczystą zgodę i jedność. Takim sposobem zgasła ostatnia iskra pożaru roznieconego gwoli oczyszczenia sławy Elżbiety. Uwiadomiony o tym papież zaniósł gorące modły do nieba, iż

mu dano było przywrócić spokój między królami. Legat papieski Piotr otrzymał pochlebne pismo papieskie, winszujące mu szczęśliwie dokonanych trudów poselskich. Inny list z Awinionu nakazywał mu podziękować monarchom, że tak przykładowo usłuchali przedstawień apostoelskich. „Teraz zaś” – kończyły dalsze listy papieskie – „gdy wrócił pokój królestwom chrześcijańskim, czas podnieść oręż przeciw niewiernym i śladem dawnych krzyżowców pod mury dążyć jerozolimskie...”

Ale nie też sama gwiazda błogosławieństwa świeciła wyprawie jerozolimskiej, co dzieła zgody krakowskiej. Projekt krucjaty zaczął wąteć na siłach, aż w końcu spełził na niczym. Spodziewany naczelnik wojny św., król Francji Jan, umarł na wiosnę roku 1364-go, zostawiając gotowego wprowadzić następcę tronu, lecz bez następcy w naczelnictwie krucjaty. Cesarz Karol IV oddał się tymi czasy wyłącznym staraniom o przysporzenie nowej prowincji domowi swemu i podobnie jak jego przeciwnikowi, rakuskiemu księciu Rudolfowi, powiodło się w ciągu opowiedzianych tu zdarzeń zjednoczyć z posiadłościami rakuskimi hrabstwo Tyrolu, tak on wzbogacił teraz dynastię luksemburską nabyciem margrabstwa brandenburskiego. Sam rycerski Luzynian wytrwał w intencji wojny krzyżowej, dla której nader szczupłymi posiłkami udawał się na wschód, zdobył tam z wielką chwałą Aleksandrię i niektóre inne miasta tureckie. Co jednakże nie sprawiło żadnej różnicy w losach chrześcijaństwa orientalnego, gdyż nikt nie pospieszył z pomocą, a Turcy pozostali ciągle panami ziemi świętej i nawet Aleksandrię wkrótce odbili. Cały ów szereg następstw coraz wspanialszych, któremu dało początek obelżywe słowo Karola, stanął na wypadku sławnych godów wesela cesarskiego w Krakowie. Zamierzone nimi rozślawienie gościnności i datków kazimierzowskich okazało się szczęśliwszym od wszystkich innych zamiarów, o jakich była mowa w opowiadaniu niniejszym. Znikła bez śladu potęga dynastii luksemburskiej, udało się królestwo Cypru, zatarła się nawet pamięć imienia cnej królowej Elżbiety, a sława wielmożności ostatniego Piasta w koronie rosła coraz szerzej od tego czasu. Dopieroż natenczas – upewnia nas kronika – „zasłynęło godnie imię Kazimierza, króla polskiego, i rozniosło się odtąd po wszystkich krajach, i wszystkie też państwa katolickie i barbarzyńskie brzmiały odtąd sławą wspaniałości dzieła Jego.

## **ZWYCIĘSTWO ROKU 1675. PODE LWOWEM**

Założenie plantacji na zamkowej górze nad Lwowem przyozdobiło miasto niezwykłą piękną przechadzką. Swoi i obcy, wszyscy cenimy wysoce jej przyjemności, zachwycamy się wielorakimi powabami, nie znając przecież, albo nie przypominając sobie najwspanialszego jego wdzięku. Jest to wdzięk wielkiego wspomnienia historycznego, jest to otwierający się z niej widok miejsca, na którym pełniony został wielkopomny czyn bohaterski.

Patrzmy codziennie na jego scenę, przechadzając się po wschodnim rąbku plantacji ponad łązienkami Kisielki i wiodąc okiem po tej niezamierzonej płaszczyźnie która od rogatki żółkiewskiej, wprost błyszczącego stawku łązienek, rozpościera się i niknie poza przyładkiem dalszego pasma wzgórz na prawo. Na tej to równinie stoczyła się r. P. 1675, za czasów króla Jana Sobieskiego, między 5-tysięcznym rycerstwem polskim, a 40 do 60 tysiącami ordy tatarskiej i Turków szczęśliwa dla chrześcijan walka, liczona do najświetniejszych tryumfów króla Jana III, który według wyrażenia się dziejopisów późniejszych, „nie był nigdy tak wielkim, jak na poboju pod Lwowem”. „Na tej to równinie” – mówi współczesny historyk angielski Connor osobiście obeznany z dworem warszawskim, a nieprzyjazny w ogólności Polakom – „odniesiono największe może zwycięstwo, o jakim kiedykolwiek słyszały dzieje”. „Na tej to równinie” – wtórzy mu wreszcie pisarz dzisiejszy, głośny historyk francuski Salvandy – „rozstrzygły się losy podziwienia godnej kampanii, która może nie ma równej sobie w wiekach poprzednich, a ledwie ustąpi którejkolwiek z kampanii wieku naszego”. „W dzień tego zwycięstwa” – donosi wreszcie urzędowa „Gazeta Francji”, w N° 103 z dnia 22 października r.1675 – „zajaśniała opatrzność widomiej niż kiedykolwiek nad Polską i okazało się jawnie, że samo niebo opiekuje się tem przedmurzem świata chrześcijańskiego, które przed wszystkimi narody chroni go od nawału najsroźszych nieprzyjaciół”.

Czasy „zniesienia” ordy pod Lwowem, tylko ośmią laty wcześniejsze od szturmów armii tureckiej do murów Wiednia i odsieczowej wyprawy króla Jana, były czasami najwyższej

potęgi półksiężyca. Większa połowa Węgier, znaczna część Ukrainy i Podola zostawały pod panowaniem Osmanów. W węgierskiej stolicy Budzie, w świeżo zdobytym Kamieńcu Podolskim tureccy zasiadali baszowie. Rok po roku widział wojska tureckie wdzierające się w coraz dalszą głąb państw chrześcijańskich, po coraz dalsze podboje. Osobliwie Polska znalazła się w tej chwili narażona na ciosy muzułmańskie. Z dworem wiedeńskim miała Porta od lat dwunastu pokój nader pomyślny, uwieńczony rozpostarciem granic tureckich, aż po twierdzę Neuhausel o 10 mil od Presburga, pozwalający Turkom zbroić się do wyprawy wiedeńskiej. Cały ciężar zwycięskiej potęgi. W. Sułtanów spadła na omdlałe królestwo obydwóch Piastów ostatnich: króla Michała Korybuta i Jana III Sobieskiego. Przez kilka z kolei lat uderzyła ta potęga siłą rozhukanego morza w nadszczerbione granice polskie, zalewając je raz po raz, mianowicie w latach 1672, 1673, 1674, 1675, 1676, zbrojnymi tłumy ogromnych wypraw podbójczych. Co tylko w najważniejszych wydarzyło się wojnach, sami cesarze osmańscy przewodniczyli wyprawom. Podczas gdy nawet tak wielkie przedsięwzięcia wojenne jak oblężenie Wiednia powierzane bywały mniej dostojnemu naczelnictwu wezyrów: nad Dniestr, przeciwko Polsce sam cesarz Mahomet IV po trzykroć w sześciu latach z całym wyruszał dworem. Wtedy liczne oddziały armii tureckiej wydrążyły w skałach pobrzeża naddniestrzańskiego lodownie dla cukierników sułtańskich – pola buczackie, okryte sieciami niezliczonej zgrai łowczych sułtańskich, bawiły padyszacha nowym rodzajem polowania – w Buczaczu poufni wysłańcy króla polskiego Michała ślubowali Turkom pokój tajemny, zniżający koronę polską do rzędu hołdownych podnóżków Porty – a cesarz Mahomet IV powtarzał na łowach, podczas przeglądu wojska, u stołu, nawet w nocy jedyne słowo: „Gdańsk!” – marzył o rozprzestrzenieniu krańców swojego państwa od morza indyjskiego po Bałtyk.

Ale i padyszachowie miewają marzenia – nieziszczone. W poprzek drogi do Gdańska, w poprzek drogi do Wiednia, stanął Mahometowi IV, mąż jeden lecz mąż wielki Sobieski. Daleki jeszcze całkowitemu dzisiaj uznaniu, prawie zapomniany jak jego pobojuwisko pod Lwowem, oparł się on całemu nawałowi islamu i bajecznie szczupłymi siły ocalił nie tylko własną ojczyznę, ale cały wschód Europy. Pierwszym z ważniejszych ku temu kroków była przesławna bitwa chocimska roku 1673-go, odwdzięczona wyniesieniem zwycięzcy na tron królewski, drugim przedkoronacyjna kampania z r. 1674, przezwana od Francuzów „cudowną”, rozpoczęta szeregiem korzyści oręża tureckiego śród lata, a zakończona nagłą klęską pod zimę, trzecim wreszcie chwała również przedkoronacyjnej jeszcze kampanii z roku 1675-go, nasza wygrana pod lwowską górą zamkową. O niej to bliższa nam wzmianka tutaj.

Chodziło porcie o uiszczenie pokoju buczackiego, który jej przyznawał Podole, Ukrainę i coroczny haracz ze strony Polski, a którego egzekucji nie dopuścił naprzód sejm, następnie zaś zwycięski oręż nowego króla. Doświadczeniem roku zeszłego nauczyli się Turcy, iż chcąc jakąkolwiek wojnę z Polską szczęśliwym zakończyć skutkiem, należy zakończyć ją wcześniej przed zimą. Stąd już w pierwszej wiosnie wyruszyły tego roku wojska sułtańskie w pole. Wyruszyły z dwóch stron, od Dniepru i Dunaju, dwoma wielkimi armiami, „zdolnemi (jak mówiono), zawojować nie tylko Polskę, ale pół świata”. Jedną tatarską, rozsypującą się co chwila w drobne łupieskie oddziały, prowadził Han W. Selim-Gieraj porządkując pięciu podrzędnym sułtanom krymskim, pomiędzy którymi słynął osobliwie stryj hański Ssafa-Gieraj, zwany powszechnie od godności swojej „sułtanem Nureddynem”, tj. wtórnym z domniemanych następców tronu hańskiego. Drugiej armii tureckiej przewodził seraskier, czyli najwyższy dowódca wojsk ottomańskich Sziszman Ibrahim, mający pod sobą 15 baszów, pomiędzy tymi 5 wezyrów a nadto obydwóch gospodarów wołoskich, razem liczone siły nieprzyjacielskie na 150 do 200 000 wojowników.

Przeciw tak wielkiej potędze bronila całej Polski garstka rozmaicie uzbrojonego wojska, cokolwiek starodawnej husarii, kilkanaście chorągwi pancernych i kozackich, kilka pułków piechoty krajowej i cudzoziemskiej, razem zaledwie 25 do 30 000 ludzi, rozrzuconych maleńkimi kupkami na szerokiej przestrzeni, po miasteczkach, zamkach, obozowiskach. O rychłym powiększeniu obrony, o pospolitym ruszeniu, uznanym od dawna za tłum wcale gnuśny, niesforny, bezużyteczny, nie można było myśleć. Tylko, cud, cud geniusza wojennego, korzystającego przede wszystkim z błędów nieprzyjaciela, mógł zbawić kraj. Nieukoronowany wciąż jeszcze król obozował w świeżo oswobodzonej Ukrainie. Nieskończenie większy jako wojownik głową, niż jako wojownik szablą, wlepił on chciwie wzrok w poruszenia nadciągających wrogów, śledząc z niespokojnością, na którą z wschodnich prowincji polskich na Ukrainę-li czy od razu na Ruś Czerwoną uderzy wyprawa tegoroczna.

Muzułmanie wymierzili cały swój zamach przeciw królowi, rozlali się po Ukrainie, Jan Sobieski odetchnął. „Seraskier Ibrabim niedołęga!” – zawołał. – „Nim jesień minie, ubędzie jego ogromnej armii!” Zaczyn umyślnie, ustępując mu miejsca, cofnął się Sobieski na Ruś, a Tatarzy i Turcy zaczęli dobywać zamków i miast ukraińskich. Zabrakło im to wiele czasu i nie przyniosło najmniejszego pożytku, gdyż prawie wszystkie oblężone twierdze oparły się nieprzyjaciołom, kiedy tymczasem król coraz warowniejszą pozycję umacniał sobie na Rusi. Obierając Lwów za centralne stanowisko obrony, opasał go Jan z daleka szerokiem półkolem twierdz, poruczonych najdoświadczeńszym mężom. W Brodach i Załoścach zamknął się z



trzema tysiącami żołnierza hetman polny koronny, ksiązę Dymitr Wiśniowiecki; w Złoczowie z taką samą liczbą wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski; w Brzeżanach chorąży W. kor. Sienawski, w Podhajcach Makowiecki, w Zbarażu pułkownik Desauteils, w Trembowli Samuel Chrzanowski. Całe pogranicze między Wołyniem i Podolem a Rusią najeżyło się warowniami, uzbrojeniem za staraniem wielkiego króla bogdaj mieszczańską, bogdaj chłopską załogą. Nadto jął się Sobieski zwyczajnego środka paraliżowania wojny traktatami o pokój. Na wezwanie chana udało się trzech pełnomocników królewskich do obozu Tatarów, aby za pośrednictwem Selim-Gereja zawiązać układy z Ibrahimelem.

Tym sposobem postęp oręża ottomańskiego coraz szkodliwszej doznawał zwłoki. Cesarz Mahomet IV, czyli właściwie wszechwładny wezyr Ahmed Kiupriuli, dziedzic dostojęstwa, geniuszu i światoburczych zamysłów swego ojca Mahometa Kiupriuli, zżymał się z niecierpliwości. Ibrahim otrzymał rozkaz zawojować czym prędzej bezbronną Polskę z jej królem, albo dać gardło. Gdyby mu wojska nie stało, nadejdzie druga armia, która już przeprawia się przez Dniestr; gdyby i ta nie starczyła, zbiera się trzecia pod dowództwem samego padyszacha na polach Adrianopola.

Dumny seraskier Ibrahim złożył się przed dywanem, że już dawno byłby schwytał króla polskiego, lecz nie wie, gdzie się podział. Aby go więc odszukać, aby własne ocalić gardło, rzucił się seraskier przyspieszonym pochodem ku ziemiom ruskim. Pod Husiatynem połączyły się obie armie najeźdźcze, licząc przeszło 100 000 ludu zbrojnego. Owi orędownicy polscy, stanąwszy za tatarskim pośrednictwem przed naczelnym wodzem tureckim, zostali hardo przyjęci. „W dwóch słowach zamknijcie waszą prośbę” – ofuknął ich seraskier – „bo trzeciego słuchać nie będę”. – „Dwa za mało!” – odpowiedzieli smutno posłowie.

Ibrahim kazał wziąć ich pod straż i prowadzić z sobą za wojskiem jako świadków spodziewanych teraz tryumfów muzułmańskich. Nastąpiły też w istocie wszelkie wysilenia przemocy i srogości. Palono wszystkie sioła przed sobą, wbijano na pal mieszkańców, uprowadzano w jasyr całą ludność okolic. Zdradnie opanowaną twierdzę zbarazką dał Ibrahim zapalić na czterech rogach i wyprowadził uwięzionych posłów polskich na wzgórze, aby się przypatrywali płonącemu dokoła miastu. Z krwawo zdobytych Podhajec zagnano przeszło 30 000 ludu w niewolę. Przeszło 30 znaczniejszych miast i grodów uległo zniszczeniu. Niezmierna trwoga ogarnęła kraj wszystek. Kto mógł, unosił życie za Wisłę. Cała nawałnica nieprzyjaciela zdążyła już ku Złoczowowi, mierząc prosto na Lwów.

Lwów został po raz wtóry głównym szańcem królestwa. Troskliwy o niego król przybył spieszenie do miasta. Za nim zjechała także z całym dworem królowa. Przygotowano się do przebycia długiego oblężenia, do przebycia wielkiego niebezpieczeństwa, które wszyscy

pragnęli podzielić społem.

Mimo wszelką jednak obawę, mimo zupełne prawie ogołocenie z środków, mimo zwyczajny wreszcie rozsądek, nie odstępowała króla pewna zuchwała odwaga, podnosząca strwożne dokoła serca. Mając wjeżdżać do Lwowa, zakazał król wszelkich powitalnych ceremonii i ogniów w mieście. Wtem doszła go wiadomość o owym doniesieniu Ibrahima do Carogrodu, jakoby Jan skrył się przed nim. Natychmiast wyszedł rozkaz królewski, aby miasto zagrzmiało w powitanie ze wszystkich dział dla oznajmienia Ibrahimowi, gdzie może znaleźć króla. Ta starorycerska śmiałość, jak zbawienna dla swoich, tak szkodliwą okazała się wrogom. Dziki, zabobonny, orientalną wyobraźnią mamiony Tatar i Turek był aż nadto skorym do powodowania się wrażeniami dziwów mniemanych. Toć przed niewielą dopiero dniami, przystępując do zdobywania Załoziec i chcąc zasięgnąć wróżby w tej mierze, wypuszczono z obozu tureckiego czarną kokosz ku miastu. Czarodziejska kwoka wróciła z gdakiem w szeregi muzułmańskie, a Turcy uszli w popłochu spod Załoziec.

Wiadomo jak dalece później sama obecność króla Jana rzuciła bajeczny postrach na wrogów. Może takąż samą i teraz nadrabiając nad nimi władzę, nie zapomniał król o przysposobieniu im także nierównie rzeczywistych powodów lęku. Po ściągnięciu wszelkich możliwych w obecnej chwili posiłków znalazło się przy królu sześć do ośmiu tysięcy ludzi, którymi dowodzili częściowo szwagier królewski i hetman polny litewski, Michał książę Radziwiłł, chorąży kor. Sieniawski, strażnik kor. Bidziński, słynny kawaler maltański Lubomirski, generał Korycki, pułkownikowie Miączyński i Polanowski. Bezpośredniemu dowództwu króla pozostało zaledwie 2000 żołnierza. Ustawił go król obozem o ćwierć mili od murów miejskich, ku Krzywczycom, w niewielkiej dolinie pomiędzy wzgórzami i parowami leśnymi, poza ową nagą piaskową górą i odroślami bocznymi, które przechadzającym się po dzisiejszych plantacjach ponad łązienkami Kisielki, ograniczają widok na prawo. Jakkolwiek szczęśliwym mogło być położenie, jakkolwiek ufano wojennej sztuce króla, nalegali przecież senatorowie obecni, aby król w bezpieczniejsze miejsce schronił swoją osobę. Sobieski odpowiedział, iż tu oczekiwać będzie nieprzyjaciela i jak przed ośmiu laty w Podhajcach pobije go podjazdami lub zginie.

Było to w drugiej połowie sierpnia. Dość pomkniona już pora roku, rozkazy z Konstantynopola, świeżo rozbudzony zapał armii tureckiej, wszystko zniewalało Turków do kroku stanowczego! Na polach między Płuchowem a Jezierną, stanowiskami Ibrahima i cana Selim-Gieraja, odbywała się wielka rada wojenna. Wiedząc już teraz o pobycie króla w stolicy ruskiej, postanowiono wyprawić znaczną część armii pod Lwów dla rozbicia obozu królewskiego i odparcia króla (jak o tym wyraźnie była mowa) aż po Lublin albo Jarosław, a

potem z resztą armii chciano otoczyć i zdobyć miasto.

Pierwszą połowę dzieła, wymagającą nade wszystko szybkości, poruczano głównie Tatarom. Prawie cała orda, z pozostawieniem jedynie szczupłej garstki przy chanie i jasyrze, a przybrawszy natomiast ochotników tureckich, wyruszyła pod naczelnictwem baszów Ssaffa-Gieraja, Nuredyna i Adzi-Gieraja, w 40 000 wybrakowanych junaków, całym pędem na Lwów. Dnia 23 sierpnia otarła się przelatująca chmura tatarska o zamek złoczewski, skąd waleczny wojewoda ruski Jabłonowski przez kilka godzin armatnim smagał się ogniem. Tegoż samego dnia, w piątek przed św. Bartłojem, doszła do Lwowa pierwsza wiadomość o grożącym zamachu, nadesłana przez pułkownika Miączyńskiego, który w 2 500 ludzi wyprawiony na pojazd, zabrał pod Uniowem kilka języków tatarskich i natychmiast dostawił ich królowi.

Wyprawa Nureddyna zerwała się tak nagle, że sami jeńcy uniowscy nie wiedzieli dokładnie, jaka właściwie siła ciągnie na Lwów. Musiał tedy przypuścić Jan Sobieski i przypuszczono w rzeczy powszechnie, że przyjdzie wytrzymać zamach obydwóch połączonych armii nieprzyjacielskich. Oczekując co chwila ich przybycia, pospieszyło wszystko na stanowiska. Mieszczanie rzucili się z bronią w rękę na mury, lud, kobiety, duchowieństwo zalegli wszystkie świątynie; wraz z dzwonami wzywającymi do modłów w niebezpieczeństwie, uderzyły z wyższego zamku armaty, dając znać mieszkańcom przyległych siół, aby uciekali przed ordą nadciągającą. – W niedzielę 25 sierpnia, o samym południu, postrzeżono z wyższego zamku ogromne tumany kurzu na gościńcu gliniańskim. Od ustępujących stamtąd czat przednich rozniósł się powszędy głos: nieprzyjaciel! Zatrzymany dotychczas w mieście Sobieski pożegnał teraz królowę, która wraz z ludem udała się w procesji do kościoła katedralnego, a król z całym dworem wojennym pognął do obozu za miastem.

Ze szczytu wzgórz zamkowych i przyległych (skąd Sobieski przez jakiś czas przypatrywał się uważnie dalekiemu pochodowi nieprzyjaciela) odsłonił się nagle dziwny widok natury. Nieprzyjaciel znajdował się w odległości Biłki królewskiej. Najpiękniejsza pogoda niedzieli sierpniowej rozpromieniła cały widnokrąg. Wtem naraz zaczerniało niebo okropną tuczą nad Białką i ciągnącymi tamtędy nieprzyjaciółmi. Podczas gdy nad Lwowem najjaśniejsze świeciło słońce, uderzył w Biłce na Muzułmanów gwałtowny grad ze śniegiem, który w jednej chwili wszystkie okoliczne pola pobieliał. „Nie sprzyja Bóg zamachowi” – przeniknęło tajemną trwogą ordę i Turków, głośną otuchą chrześcijan. Korzystając z pomyślnego pomiędzy swymi wrażenia, zachęcił król do tym ściślejszego wykonania rozkazów. Szczupłe, pięć- a najwięcej ośmiotysięczne wojska pod wodzą księcia Radziwiłła wyprawił król

gościńcem sichowskim aż ku Bóbrce, aby z tej najdalszej na prawo strony zastąpić drogę Tatarstwu i nie dać mu obejść króla z ubocza. Reszta sił została podzielona na troje. Jedną część, czyli prawe skrzydło pod jenerałem Koryckim stało poza rogatką Łyczakowską, na gościńcu winnickim. Lewe skrzydło, złożone z kilku chorągwi husarskich, prowadzonych przez chorążego kor. Sieniawskiego i podkomorzego bełzkiego, oparło się o podnóże zamku wysokiego, ku rogatce żółkiewskiej i szerokim tamże błotom od stron Zboisk. Król ze swoim obozem na dolinie pomiędzy wzgórzami dzisiejszego zniesienia tworzył centrum. Zawierało ono kilka chorągwi wołoskich pod strażnikiem kor. Bidzińskim, kilka husarskich, siedem pancernych, trzy kozackie i cokolwiek piechoty z niewielką działką, razem mało co nad 2000 ludzi.

Położenie obozu było według szczegółowych doniesień takie, iż mając wystąpić z niego na płaszczyznę pobojuwiska ku Żółkwi, należało naprzód iść w górę ze 300 kroków, potem drugich 300 grzbietem wzgórzów między obozem a płaszczyzną, a wreszcie ciasnym wąwozem najeżonym zaroślami spuścić się na płaszczyznę. Ku temuż wąwozowi musieli kierować się Tatarzy, chcąc opanować obóz królewski, co w istocie stanowiło główną metę wyprawy. Dlatego zwrócił król wszelką uwagę na ten przesmyk, osadził kilkaset strzelców ukrytych w gęstwie, ustawił w pobliżu wołoskie chorągwie Bidzińskiego na straży, a na jednym ze wzgórz nad wąwozem zatoczył kilka dział zdolnych ostrzeliwać stamtąd równinę.

Nie za tąż jednak osłoną, nie w samymże obozie, zdało się wytrzymać główny atak nieprzyjaciela. Przyzwyczajony uprzedzać go znienacka, zamierzył król i dzisiaj użyć tej zuchwałości, szczęśliwej gdy posiłkowanej jeniusem. Zaczem obwarowawszy należnie obóz, wyprowadził Sobieski wojsko swoje na wzgórze, nad równiną, aby w danej chwili rzucić je gdziekolwiek na płaszczyznę. Ponieważ zaś ciężkie chorągwie husarskie, stanowiące główną siłę królewską, dobre do rozbijania nieprzełamanych zastępów, lecz mniej użyteczne w spotkaniu się z lekkim, pierzchliwym jak wiatr Tatarstwem, niewielką wróżyły tam skuteczność, przeto zabłysnął królowi nagle jeden z owych pomysłów, który dogadzając naprzód pewnej poszczególnej potrzebie, okazuje się z wielu innych jeszcze względów korzystnym. Przeciwno mniemaniu najstarszych wojowników, wierzących przesadnie w bezwarunkową zbawienność zbroi husarskiej, wydał król rozkaz, aby cała husaria złożyła swój rynsztunek żelazny i ciężkie kopie, a przybrała natomiast lekkie dzidy kozackie. Przybyło tym sposobem kilkanaście set luźnych kopii i rynsztunków husarskich, w które nowy ordynans króla kazał ustroić się niezmierniej podwóczas liczbie ciurów i służby obozowej. Zaimprovizowana tak niespodziewanie husaria, nie mająca innego przeznaczenia jak tylko stać pomiędzy zaroślami na wzgórzach, jakoby gotowa do uderzenia rezerwa, w

dwójnasób na pozór powiększyła siły królewskie. Cudownym wpływem geniuszu ubożuchna armia obronna sprawiła wrażenie wielkiego, szeroko rozpostartego wojska, wzgórze i lasy zamieniały się w twierdze, słabszy gotował się uderzyć na mocniejszego, ci, którzy w innym razie byliby bliscy rozpacz, teraz tuszyli sobie tryumf!

Tymczasem Nureddyn z swoją ordą postępował naprzód wśród gromów burzy gradowej, wśród huku ciągłych strzałów sygnałowych z zamku wyższego, wśród bicia dzwonów nieszpornych w mieście. O godzinie czwartej z południa okazały się szyki nieprzyjacielskie w pobliżu wzgórz zamkowych, posuwając się ku nim ogromnym półksiężycem rozciągniętym od Zboisk aż do Krzywczyc. Jednocześnie wrócił od Bóbrki podjazd hetmana polnego Radziwiłła z relacją, iż nie masz nigdzie Tatarów w tamtej stronie. Nadeszłym z sobą wojskiem wzmocnił hetman obadwa skrzydła, przydzielając husarię husarii, hufce lekkie chorągwiom lekkim. Poczym w zamiarze zwarcia się wstępnym bojem z pogaństwem sprowadził Sobieski swoje wojsko ze wzgórz na płaszczyznę i o sporą ćwierć mili pomknął się naprzeciw ordzie.

Zaledwie to nastąpiło, oznajmiono królowi, iż na lewym skrzydle pod zamkiem wyższym, u przeprawy przez błoto koło Zboisk, przyszło już do spotkania. Silnie od przemożniejszego wroga ciśnięte chorągwie poczęły się tam mieszać i cofać. W tej stanowczej chwili wydał król hasło do boju na wszystkich punktach. Zwyczajem swoim przeżegnał i pobłogosławił pobożny Sobieski całe wojsko i z trzykrotnem okrzykiem „Żyje Jezus!” na ustach, rzucił się w zastępy nieprzyjacielskie.

Gwałtowne natarcie powstrzymało impet Tatarstwa i dozwoliło poprawić się chorągwiom na lewym skrzydle. Gdy jedne oddziały armii muzułmańskiej z trudnością pasowały się z jazdą, innym oddziałom, chcącym przez wąwóz i przyległe parowy przedrzeć się w obóz królewski, celne pociski strzelców i ukrytej w zaroślach piechoty niezmierną czyniły szkodę. Z tym samym szczęśliwym skutkiem zagrzmiały także działa ze wzgórz. Rażne wykonanie trafnie obmyślanych rozkazów zrównoważyło nierówne siły walczących. Długo jednakże trwał bój. Długo czekały zgromadzone w świątyniach miejskich rzesze, aby nadeszła wieść ocalenia. Sprzed obrazu Matki Boskiej w katedrze udała się królowa z ludem do kościoła jezuickiego i upadła tam na kolana przed wizerunkiem św. Stanisława Kostki. Dopiero z zachodem słońca zabrzmiała wiadomość o wygranej. Obawa, aby mrok wieczorny nie wsparł przeważnego nieprzyjaciela natchnęła walczące rycerstwo polskie do ostatecznych wysileń. Złamany nimi wróg stracił ducha. Nim jeszcze owa mniemana husaria na wzgórzach świeży (jak myślano) przypuści szturm, wypadło myśleć o bezpieczeństwie. A równie nagle w odwrócenie jak i w natarciu pierzchnęło Tatarstwo w jednej chwili na wszystkich punktach. O

pierwszym cieniu nocnym nie było go już na widnokręgu. „Jakby widmo straszliwe” – mówi jeden z współczesnych – „zjawiła się ta ogromna armia i w przeciągu kilku godzin przed oblężonym miastem znikła”. Tylko czerwiejący z dala pożar Lesienic, Mikłaszowa, Kamieniopola, zapalonych przez orzę dla utrudnienia pogoni, wskazywał płomienne ślady ucieczki.

Ciemność nocy przeszkodziła ścigać uciekających. Nie wiedziano zresztą z pewnością, czy nagła rozsypka tak przemocnego nieprzyjaciela nie była tylko zwyczajnym fortem tatarskim, po którym on z podwójną wściekłością ponowi zamach. Nie wiedziano w ogólności, czy samym jedynie Nureddinem, czy z całą armią Ibrahima i chana stoczono bitwę. W każdym razie zdało się niewątpliwe, że nazajutrz przyjdzie powtórzyć walkę. Dlatego kazał król pozostać wojsku przez noc na pobojuwisku, a sam odjechał do obozu. Nie chciał nawet wrócić przedwcześnie do miasta, gdzie teraz wniebogłosy brzmiały modły dziękczynne. Po Panu Bogu i królu dopomogli do zwycięstwa najwięcej szwagier królewski hetman polny litewski książę Michał Radziwiłł, późniejszy wojewoda wołyński a teraźniejszy podskarbi nadworny Atanazy Miączyński, podkomorzy chełmiński i generał piechoty Krzysztof Korycki, wreszcie pułkownik Aleksander Polanowski i sławny kawaler maltański a później kasztelan krakowski książę Hieronim Lubomirski.

Jedno z owych dziwnych zwycięstw turecko-polskich, w których nieraz sama wrażliwość i przesadność fantazji orientalnej, sam postrach imienia dowódcy chrześcijańskiego, decydowały o losie bitwy, kosztowała wygrana pod Lwowem wcale niewiele ofiar. Nierównie większą stratę ponieśli zwyciężeni zwłaszcza u przeprawy przez błota koło Zboisk. Nigdy jednakże nie wykryła się liczba poległych nieprzyjaciół, ponieważ Tatarzy swoim zwyczajem porwali trupów ze sobą i spalili ich w drodze. Po całym gościńcu do Złoczowa i Pomorzana płonęły nocą te stosy pogrzebowe.

Dopiero nazajutrz okazała się istotna wielkość wygranej. Ranek 26 sierpnia ujrzano armię nieprzyjacielską w ucieczce już o 8 mil od Lwowa. Jednej nocy ubiegli Tatarzy tyle drogi spod Lwowa, ile ciągnąc pierwaj pod Lwów uszli w trzech dniach i nocach. Można z tego wnosić o wieściach, jakie z uciekającymi nadbiegły do obozu Ibrahima i chana. Przedstawiono króla polskiego panem ogromnej armii w zwycięskim pochodzie naprzeciw Turkom. Przerażeni wodzowie obudwóch wojsk kazali co prędzej zwinąć namioty. Dla przyozdobienia odwrotu jakakolwiek pomyślnością wojenną postanowili Turcy w drodze ku Wołoszczyźnie zdobyć zamek w Trembowili. Dowódca tameczny Chrzanowski utrzymał się aż do przyobiecanej odsieczki króla. Jakoż nie dał Sobieski czekać długo na siebie. W pięć tygodni po zwycięstwie pod Lwowem znalazł się wielki wojownik na czele 20 000 żołnierza,

pościąganego z bezpieczniejszych w tej chwili twierdz i z tym wielkiem dla niego wojskiem pospieszył ścigać podwójną armię nieprzyjacielską, która do niedawna liczyła 180 000 ludzi. Dnia 6 października dowiedział się przerażony seraskier pod Trębowłą o nadciąganiu króla, a w kilka dni później, po nagłym ustąpieniu Ibrahima spod Kamieniec za Dniestr i podobnymże ujściu ordy, nie było już nieprzyjaciela na ziemi polskiej.

Takim sposobem wygrana pod Lwowem rozstrzygnęła kampanię roku 1675-go. Z kampanią w roku 1675 tym spełził na niczym jeden z owych gwałtownych szturmów, jakimi Orient od wieków uderzał w świat zachodni. Na owej szeroko rozpostartej płaszczyźnie, po której codziennie spoglądamy z góry zamkowej, odegrała się jedna z najheroicniejszych scen, jakimi zachód opierał i oparł się tym szturmom. Miasto oswobodzone, kraj ocalony, całe chrześcijaństwo zwycięskim puklerzem zasłonię – oto pojedyncze rysy tego wielkiego wspomnienia historycznego, które jednym z mniej znanych acz najwspanialszych wdzięków przyozdabia codzienną przechadzkę naszą. Patrząc na owe domki pobliskie wsi Zniesienia, które na prawo od łązienek Kisielki wznoszą się na wzgórzach i wśród parowów, widzimy żywe pomniki odświeżonego tutaj wypadku. Wieś Zniesienie, nazwa według wiadomej tradycji od zniesienia Tatarów w r. 1675, stała na jednym z najpamiętniejszych punktów tej bitwy. U współczesnych, nie znających jeszcze Zniesienia, nazywa się ona bitwa pod wsią Lesienicami.

KONIEC

Korekta: Katarzyna Michalska